

Kronika

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 14 Rok I

ŁÓDŹ, 16—30 LISTOPADA 1955

Cena zł 1.20

JAN SZCZEPAŃSKI

W sprawie autorytetu

DYSKUSJA między prof. Schaffem i prof. Chałasińskim dotyka istotnych spraw naszej kultury narodowej. Jest bowiem dla każdego społeczeństwa sprawą niezmiennie ważną, kto w tym społeczeństwie stwarza kryteria oceny wartości kulturalnych, kto decyduje o tym, w jakim kierunku kultura powinna się rozwijać. Używając słowa „kultura” mam tu na myśli jego zasadnicze znaczenie — nie to zwężone, występujące w nazwie „Ministerstwa Kultury i Sztuki”, w którym kultura zostaje oddzielona nie tylko od sztuki, ale i nauki, techniki itp. Chcę tu mówić o jednej tylko dziedzinie twórczości kulturalnej, która wywiera jednak decydujący wpływ na rozwój społeczeństw nowoczesnych, a mianowicie o nauce.

Problem autorytetu w tym zakresie postawiony przez prof. Chałasińskiego, ma niezwykle ważną wagę. Przypomnijmy sobie różne historyczne okresy rozwoju społeczeństw europejskich, gdzie ich kultur i wpływ, jaki wywierały autorytety. Przypomnijmy średniowiecze i autorytet kościoła, walkę o nowe autorytety w okresie Renesansu, rozwój nauki nowoczesnej i tworzenie się instytucji autorytetu naukowego, a uświadomimy sobie, o jaką stawkę tu chodzi.

W wieku XIX, w okresie rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego, rozwinęły się uniwersytety liberalne, jako instytucje o najwyższym autorytecie intelektualnym, stwarzające kryteria ocen twórczości intelektualnej. Uniwersytety angielskie i niemieckie, a zwłaszcza to ostatnie, sławione przez filozofa F. Paulsen’a w książce „Die deutschen Universitäten” (1902), były instytucjami, które łączyły, w prawie har-

monijnej syntezie, naukową pracę badawczą, wychowanie elity intelektualnej klas panujących w duchu ideałów społecznych przez te klasy zaakceptowanych, wprowadzenie wychowanków do specjalizacji zawodowej i naukowej przy równoczesnym wiązaniu ich z ogólnym dziedzictwem kulturalnym narodu i ludzkości.

Skupiając w swych murach wybitnych uczonych i filozofów, uniwersytety stwarzały wartości intelektualne i moralne uznawane przez cały naród i stąd wynikał ich autorytet.

Rzecz jasna, że uniwersytety były zależne od klas panujących, że im służyły, lecz w ramach kultury tych klas, były autorytetami najwyższymi, przede wszystkim w sprawach nauki. Uniwersytety cieszyły się w tych sprawach nauki szeroką autonomią, opartą jednakże na umowie, że żadna ze stron nie będzie przekraczała klasowo ustalonych granic swej działalności. Przekonanie o autonomii uniwersytetów, o ich nadziedności wobec wszelkich walk i dążeń społecznych, o ich służbie czystej nauce i płynącym stąd dostojeniu, było oczywiście mitem.

Podporządkowanie się uniwersytetów grupom monopolistycznym było szczególnie widoczne w okresie rozwoju imperializmu, służyły one wcale dobrze zbrodniczym reżimom politycznym takim jak faszyzm i hitlerizm.

Nie będę się tu wdawał w analizę procesu historycznego, który doprowadził do kryzysu współczesnych uniwersytetów w krajach kapitalistycznych. Chociaż śledzenie tych spraw jest dla nas niezmiennie ważne, to jednak w tej chwili należy zastanowić się

nad problematyką roli naszych uniwersytetów w dalszym rozwoju kultury narodowej. Sądzę, że bez dyskusji można przyjąć tezę: zależność naszej kultury od poziomu naszych absolwentów szkół wyższych jest oczywista i jeżeli będą oni na poziomie kulturalnym szewców, to życie państwa zjedzie na poziom warsztatu szewskiego. Szkoły wyższe kształcą na swoich wydziałach humanistycznych odbiorców twórczości kulturalnej, kształcą twórców utrzymujących tradycje kulturalne narodu, tworzą intelektualne wartości tej kultury. Jakże stąd wnioski?

Jeżeli kryteria poziomu stworzone przez uniwersytety (i oczywiście wszystkie inne szkoły wyższe wszelkich typów) będą niskie — to obniży się poziom kulturalny narodu. Jeżeli uniwersytety ograniczą się do specjalizacji naukowej i stracą kontakt z wielkimi nurtami i tradycjami kultury — to naszej inteligencji grozi zamknięcie w ciasnych kregach specjalistów pozbawionych wspólnych zainteresowań i wspólnych dążeń, a więc elementów niezbędnych dla utrzymania kulturalnej spójności narodu. Jeżeli ograniczymy się do specjalizacji zawodowej, proces ten może przyjąć jeszcze jaskrawsze formy.

Wprawdzie w dyskusjach, jakie się obecnie toczą w kręgach uniwersyteckich na całym świecie, nie brak głosów, że okres harmonijnego łączenia specjalizacji naukowej z kulturą ogólną już minął, że rozwój nauki z konieczności prowadzi do coraz większego pogłębiania specjalizacji, że przyszłe społeczeństwo musi być społeczeń-

(Dokończenie na str. 4)

STANISŁAW PIĘTAK

MICKIEWICZ NA CODZIEŃ

UTARŁO się mniemanie, że poezję czytają jedynie poeci, to jest ludzie, którzy pisali wiersze, względnie je piszą lub będą pisać. W stwierdzeniu takim jest wiele złośliwości, ale niestety, i trochę prawdy. Podobne opinie nie dotyczą tylko poezji wyjątkowej, która potrafi poruszyć wyobraźnię i umysł całego świadomego narodu (tak dzieje się przede wszystkim z twórczością Mickiewicza). Przeniknęła ona do szerokich kregów społeczeństwa nie tylko dzięki ogromnej sile patriotycznego wzruszenia, lecz i dzięki swemu słowu naturalnemu, wywodzącemu się z mowy potocznej, a mimo to osiągnięciu stopnia celności i artyzmu najwyższej miary.

O oddziaływaniu poezji Mickiewicza na najprzeróżniejszych ludzi miałem możność przekonać się wielokrotnie.

Znałem poetów elitarnych, wielbiących aluzję i zagmatwanie, a zachętyjących się prostotą Mickiewicza, znałem przed wojną powieściopisarza, który specjalizował się w wyszydzeniu poetów i poezji, a który z przejęciem godzinami mówił urywki „Pana Tadeusza” — znałem wreszcie pewnego chłopca-samouka, który kiedyś przyniósł mi zeszyt wypełniony wyciekami mickiewiczowskiej poezji i ze łzami zwierzył się, że chyba piękniejszych wierszy nie może być na świecie...

II

Właśnie, jak to jest z tą wsią? Czy Mickiewicz jest na wsi czytany? Niestety i ja — do pewnego stopnia znawca stosunków wiejskich — nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Moje pełne doświadczenia zamykają się w latach 1925—1944, o współczesnym kulturalnym życiu chłopstwa niewiele wiem, obserwowałem je bowiem doręczco i nieistotnie.

To natomiast, co znam, sugeruje mi raczej przypuszczenia, że wieś powojenna czyta niewiele więcej poezji niż

przed wojną. Starzy, wytrąceni ze swego konserwatywnego łożyska, mają wiele kłopotów życiowych i innych i nie sięgają prawie po książkę, nie rzucają się do czytania również młodzi, bo możliwości atrakcyjnego losu nie składają ich do kontemplacji, czy analizy wewnętrznej, lecz do działania, do upojenia się czynnym życiem.

Cieężar propagowania poezji w takich warunkach spada na szkołę. Lecz czy nauczyciel, zmęczony pracą społeczną i zawodową, ma czas zająć się tym, czy zresztą jest zdolny przelać wzruszenia poezji w wrażliwe młode serca, skoro, jakże często, sam ich nigdy nie przeżył...?

III

Przed wojną odnajdywało się często na wsi „maniaków” czytania. Byli również czytelnicy poezji. Iluż ja sam spotkałem działaczy, którzy nosili się z zeszytami wypełnionymi przeróżnymi fragmentami wierszy. Przeważały cytaty Konopnickiej i wczesnego Kasprowicza, które mówiły o życiu chłopca bezpośrednio i zawierały akcenty buntu i nienawiści do klas posiadających.

W owych zeszytach rzadko można było jednak dostrzec Mickiewicza — dla społeczników chłopskich był on bowiem piewą szlachetczyzny, pisarzem dla nich niezrozumiałym i nieprzydatnym.

O ileż właściwie i pięknie oceniał Mickiewicza prosił wiejscy czytelnicy, ci śpiewający przy kądzieli „Switeziankę”, lub inni, radsi, rozmawiający całymi latami „Pana Tadeusza”.

Czytelnika wiejskiego zachwycone go poezją Mickiewicza spotkałem również po wojnie. Było to w zimie 1948 roku. W ramach szeroko podjętej wówczas, akcji badań czytelnictwa wyjechałem w powiat skierniewicki. Odwiedziłem wtedy działającego w Głuchowie Uniwersytet Ludowy. Mówio-

no mi tam, że poezji nikt z uczniów nie czyta — tomiki Staffa czy Kasprowicza, znajdujące się w bibliotece leżą nieruszone od lat... Jakież więc było moje zdziwienie, gdy pytając nazajutrz młodzież o najpiękniejszą książkę ich życia usłyszałem również wymówione nazwisko Mickiewicza i jego dzieło „Pan Tadeusz”.

Zwierzyła się z tego swego ukochania pewna młodzieńka, szesnastoletnia uczennica. — Strasznie piękna książka. Najpiękniejsza, jaką przeczytałam — powiedziała. — Nie, nie przeszkadza mi, że to wiersze — właśnie to nawet lepiej, jakoś tak przyjemniej...

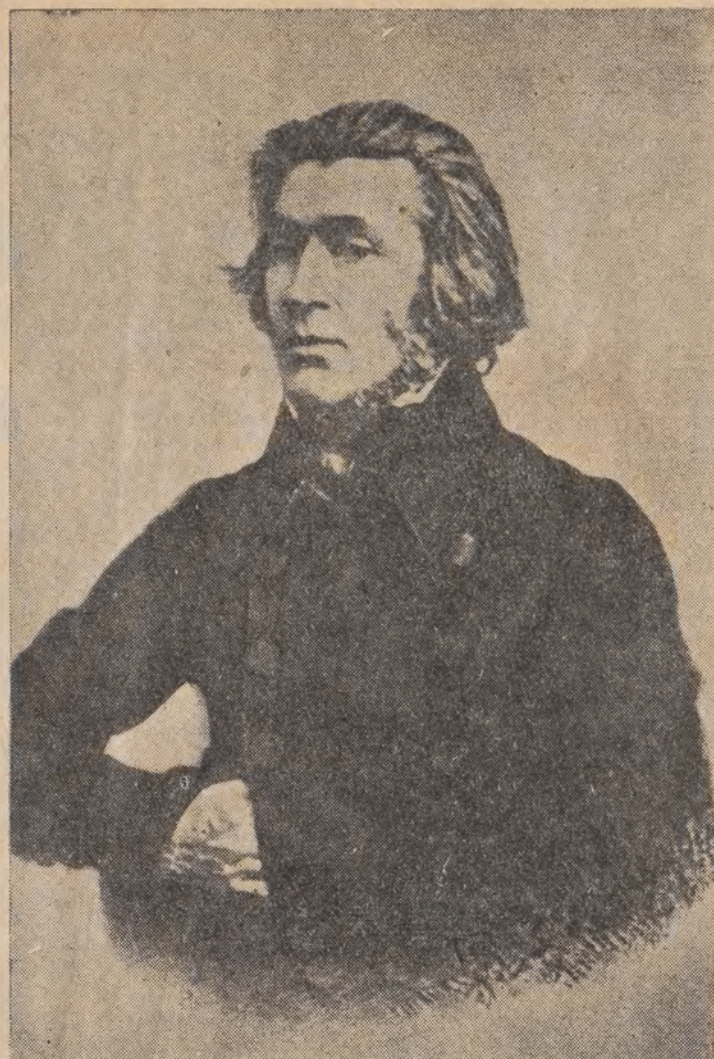
IV

Jestem głęboko przeświadczony, że poezja Mickiewicza jak żadna inna, może być w szerokich rozmiarach przyjęta i pokochana na wsi polskiej. Są w niej przecież utwory jakże bliskie odczuciu i wyobraźni ludowej, choćby „Ballady i romanse” czy „Dziadów część II” — są dalej dzieła „Pana Tadeusza”, które dzięki swojej cudownej narracji i różnorodności treściowej mogą wzruszyć, zabawić i rozśmieszyć.

Bez propagandy się jednak nie obejdzie. Trzeba poezję Mickiewicza bezustannie rozpowszechniać poprzez radio i poprzez sceny objazdowe. Poezję należy uczyć rozumieć, należy uczyć widzieć jej myśl i blask, to są rzeczy nieodzowne.

Kiedyś, jako młody chłopiec, wyrwany nawet ze snu, mogłem odpowiedzieć, że znam dwóch najwspanialszych Polaków, byli nimi dla mnie: Mickiewicz i Kościuszko. Za słowami tymi nie kryło się nic. Myślałem, że dzisiejszy jedenastoletni jest bogatszy ode mnie, bo nie wymienia Mickiewicza tylko z imienia, lecz zna już częściowo jego poezję.

STANISŁAW PIĘTAK



Adam Mickiewicz
(Dageryotyp wykonany około roku 1840)

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

CIEŃ MIŁOŚCI

(fragmenty poematu o Mickiewiczu)

Złoty złoczyńca

Kochanek niebogaty
Na próżno będzie wzdychał,
Gdy złoczyńca skrzydlaty
Napadnie go na drodze.
Będzie tęsknił, usychał
I zawiedziony srodze,
Będzie jak cień Wertera
Z własnym sercem się spierał.
Złoto, złoto skrwawione,
Złoto powszechnie czczone,
Każdy biedak wie o tym:
Jesteś złoczyńcą złotym.

Szachy

Chociaż pogodna była noc miniona,
Wiesz, że dziś w nocy burza się rozhuła,
Choć partia szachów jeszcze nie skończona,
Wiesz, że królowa wnet zabije króla.

Bo miłość mać rozum, miesza szyki
Wszystkich twych figur, szachisto kowieński,
Mgła nierozumu i twój płomień dziki
Będą przyczyną twej szachowej klęski.

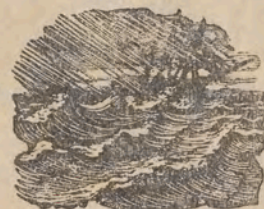
Już przewidziane wszystkie twoje chwytły
I biedny król twój padł na szachownicy,
Runął, jak ongi Salomon, zabity
Płomiennym okiem pięknej miłośnicy.

Na Krymie

Tu na wysokim, na zielonym Krymie
Raz po raz ze strumienia,
Albo ze skały wyblśnie jej imię,
Czar i ból jej imienia.

Orzeł tatarski w niebie je wykrzyczy,
Kwiat górski aromatem
Powtórzy imię, bezmiarem goryczy
I radości skrzydlate.

Szum jodły górskiej powtórzy to imię,
Czułe, bliskie, dalekie,
Ciężkie jak skały twe, wysoki Krymie,
Jak twe motyle — lekkie.



Na moście Anickowa w Petersburgu

Pod mostem Anickowa szumi chłodna Nawa.
On, patrząc w jej spienione, wartkie nurty, słyszy
Cały błękit i czystość nadniemieńskiej cisy,
Przenikającej wodę i litewskie drzewa.

I nagle serce w piersi dawnym bólem płonie,
Lecz on poskromi smutek miłości chłopięcej,
Jak na moście zastygli brązowi młodzieńcy
Kielzają zimnogrzywe, narowiste konie.

Drzeworyt F. D. Konstantinowa

„Żywyoty męczenników“

Oglądałem niedawno wystawę prac łódzkich artystów, wciśniętą — jak to zwykle bywa — w dwa pokoje bez kuchni przy ulicy Piotrkowskiej i spostrzegłem, że żaden z wystawionych obrazów nie został jeszcze zaopatrzony w karteczkę z napisem „zakup“. Ponieważ wydawało mi się, że na dwóch poprzednich wystawach sytuacja wyglądała podobnie, spytałem znajomego malarza, czemu to zaniechano owych dyskretnych znaków informujących o sprzedaży wystawianej pracy.

— Wcale nie zaniechano — odpowiedział ponuro.

— Przepraszam — opierałem się. — Tu na przykład... — Ruchem ręki ogarnąłem ciastnotę „wystawowego“ lokalu, a malarz rzuciwszy okiem po jego ciemnych kątach kiwnął głową.

— Tu na przykład — podjął — żadna z wystawionych prac nie została jeszcze kupiona.

Zrozumiałem i popadłem w filozoficzną — rzecz można — zadumę. Trudno inaczej zareagować wówczas, gdy człowiek zetknie się twarzą w twarz z nieoczekiwanym prostym rozwiązaniem pozornie zagadkowej sprawy. Karteczek z napisami „zakup“ nie spotkałem na wystawach po prostu dlatego, że prac wystawionych nikt nie kupował.

Jak to zwykle bywa, rozwiązanie jednego problemu postawiło mnie wobec całego szeregu nowych, intrygujących zagadnień. Po pierwsze — próbowałem zrozumieć, czemu to popłynęło na prace artystów skurczył się tak ogromnie. Trudno byłoby, co prawda, oczekiwać od przeciętnego śmiertelnika, by w zgola nielatywnej sytuacji materialnej mógł zdobyć się na znaczny wydatek nieodczuwany przy kupnie obrazu czy rzeźby — są jednak przecież rozliczne instytucje, które... Przypomniało mi się, jak to rok temu

spotkałem w księgarni kierownika świetlicy, który pragnąc zużytkować przyznane sobie sumy, kupował tuż przed zakończeniem roku budżetowego książki bez żadnego wyboru, hurtem, niemal na wagę. O tym, by do jakiejś świetlicy kupiono obraz — nie słyszałem.

O ile wiem, nie stwierdziliśmy jeszcze, że malarstwo sztalugowe jako relikty epoki wycisku i ucisku ma być w Polsce zlikwidowane, a sztalugowcy — po krótkim przeszkoleniu zawodowym — skierowani do bardziej produktywnych prac. Szeroka dyskusja o malarstwie współczesnym, jaka się toczy obecnie, nie wskazuje, abyśmy zbliżali się do podobnej rewolucyjnych wniosków; przeciwnie — postuluje ona istnienie dobrego malarstwa jako ważnego elementu kultury narodowej. Po to aby powstało u nas malarstwo dobre, musi jednak istnieć malarstwo średnie, muszą być ludzie, którzy na codzień, systematycznie i stale będą pracowali nad swoją sztuką, pogłębiać ją i doskonalić. Muszą więc ludzie ci malować, to znaczy — dysponować pędzlami, farbami, płótnem i sporą dozą czasu koniecznego do każdej pracy. To chyba jasne.

Niestety, żadna ekonomika nie znalazła jeszcze odpowiedzi na pytanie: z czego ma żyć człowiek, który nie znajduje zbytu na wytwory swej pracy, a jednocześnie nie może przywłaszczać sobie efektów pracy innych ludzi? Dylemat ten rozwiązała, chyba w praktyce jedynie, plastycy wystawiający swe obrazy, rzeźby i grafiki na różnych wystawach — nikt ich prac nie kupuje, a oni żyją, malują, rzeźbią i rysują. Podobno to fenomenalne zjawisko jest w znacznej mierze zasługą MHD, PSS, ZSS i innych instytucji administrujących placówkami handlu detalicznego, czyli — po prostu — sklepami; dekoracja bowiem wystaw

sklepowych umożliwia jakoby wielu artystom egzystencję. Jeżeli tak jest to, istotnie, możemy sobie wszyscy razem pogratulować: świetną szkołą dla malarza martwych natur jest komponowanie układów butelek wina owocowego w połączeniu z puszkami wołowego gulaszu. Takie studia na pewno zagwarantują nam wysoki poziom plastyki.

Mam wiele szacunku, i podziwu jednocześnie, dla tych ludzi, którzy nie bacząc na to, że wycinanie literki do napisów reklamowych, lub projektowanie opakowań do makaronu, jest znacznie popłatniejsze niż poszukiwanie artystyczne, obsłaja swymi pracami wystawy. Fakt istnienia tych ludzi napawa mnie dobrą wiarą w przyszłość naszej plastyki. Istnieją jednak i inni ludzie, tacy, którzy skłonni są mniemać, że twórczym plastykiem nie potrzeba jest żadna pomoc i opieka, bo i tak dadzą sobie radę.

Takie tendencje, przeciwnie, napawają mnie niewiarą w przyszłość naszej plastyki, a nie są one zmyślone; wiara w skuteczność żywiołowego rozwoju sztuki się jeszcze w ostatnim swym przytłoku — w mózgach wielu urzędników i działaczy „roboczych“ w kulturze. Wiedzą już oni — jako tako — że nie można budować socjalistycznej kultury okólnikami, że twórcy nie można dyktować co ma robić; wobec tego przestali się interesować twórcą i nie obchodzi ich, w jakich warunkach pracuje i czy w ogóle może pracować.

Słyszałem, że „ojcowie miasta“ bardzo ostrożnie i nieufnie ustosunkowali się do wniosku o wyasygnowanie kilkudziesięciu tysięcy złotych na zakup prac plastyków, a na tym samym posiedzeniu ochoczo zaakceptowali wydatek kilkunastu milionów na niezwykłe luksusowe wyposażenie hali sportowej. Słyszałem, że projektowana przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk pięknych loteria, mająca umożliwić sprzedaż kilkudziesięciu prac łódzkich plastyków nie może uzyskać zwolnienia od podatku, który, oczywiście, uszczupli kwoty mające wpłynąć do kieszeni malarzy, rzeźbiarzy i grafików za — o dziwo! — owoce ich artystycznego trudu. Nie wiem, czy informowano mnie fałszywie; wolabym nawet, aby było inaczej. Możemy wówczas nie patrzeć na moich znajomych malarzy czy rzeźbiarzy jak na męczenników dźwigających swe brzemie na przekór błogiej obojętności „czynników“, na przekór uśmiechom specjalistów od naklejek na butelki z octem i liści winorośli z papieroplastyki.

KRONIKARZ

RYSZARD DOROBA

Mickiewicz

On pomnożył w wielostronnej pieśni pulsujące, czarnoleskie echa, które wolna od niszczącej pleśni każda polska przyjmuje dziś strzechą.

Dna sięgnęła bólu i miłości krwią serdeczną wypełniona strofa, bo swych braci i swych przodków kości On serdecznie, do bólu ukochał.

Poetycki zasiew Jego słowa przerósł każdą grudę polskiej ziemi — przez wiek cały, co roku od nowa, były w górę soki od korzeni.

I wyrosło bujne, mocne drzewo, zgubnym wichrom oparło się wszystkim — dzisiaj tworzy wśród gałęzi śpiewu plugi, pióra, dziecięce kołyski.

RYSZARD LISKOWACKI

Do poezji

Kiedy do ciszy mi daleko jak do wojennych moich wspomnień i kiedy drzewa śpią nad rzeką i kiedy idą sny ogromne, czekam na twoje przyjście.

2.

Kiedy opada gwiazda w wodę, gdy zmierzch sierpniowy w noc narasta i kiedy w ciszy słyszę oddech ukochanego mego miasta, czekam na twoje przyjście.

3.

I kiedy każde ciepłe słowo wydobyć z serca bardzo ciężko i kiedy idę jasną drogą, aby uchronić się przed klęską, czekam na twoje przyjście.

4.

To ty oddajesz mi rześciecie co mi pochłoniął wojny oddech — i nocie są bez ciebie głodne... i ranki są bez ciebie głodne... czekam na twoje przyjście.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Nadszedł anonim

ANONIMY stały się widocznie modne. Podczas pewnej narady stwierdzono, że na koleżkę X nadeszło sześć anonimów, na dyrektora administracyjnego dwa, na główną księgową siedem.

W dyskusji jedną potępiali te broń, inni wychwalali. (Wobec oczywistych różnic w ocenie postanowiłam zastanowić się wspólnie z czytelnikami, czy anonim jest zjawiskiem pozytywnym.)

Zastanówmy się, co to jest anonim? Oskarżenie złożone imiennie na kogoś konkretnego, bez ujawnienia kim jest oskarżyciel. (Oczywiście list zawierający rozważania światopoglądowe, przysłany do redakcji, a podpisany pseudonimem lub inicjałami, jest po prostu głosem w dyskusji, niczym więcej. Autor nie musi się ujawniać). Nie rozważamy dalej definicji anonimów. Zobaczymy raczej, na podstawie faktów, jak może działać fałszywe oskarżenie. Oto przykład z życia. Rzecz dzieje się w roku 1954. Miejsce akcji: Łódź.

Pewnego dnia wcześniej rano zadzwonił do naszych drzwí milicjant i chciał się widzieć ze mną. Zadałam sobie pytanie, czy może w ostatnich dniach spisoano mi protokół, ponieważ przechodziłam nieprawidłowo przez jezdnię? Chyba nie. Mężnie więc wyszłam naprzeciw niebezpieczeństwu, poprosiłam gościa, żeby usiadł, sama zajęłam krzesło.

— Czekaj pania! podróżyć — powiedział uprzejmie i wydobyl jakiś paperek.

Okazało się, że Milicja Obywatelska w Kłodzku za Wrocławiem prosi mnie, żebym przyjechała natychmiast i pomogła rozpoznać byłą komendantkę żeńskiego obozu w Oświęcimiu, SS-mankę Marię Mandel. W miarę czytania tej „delegacji w teren“ włosy stawały mi na głowie. Tyle lat! Dziewięć lat upłynęło wtedy od wojny, a ja nigdy nie miałam zaszczytu mówić z tą esesmanką. Jej rysy mogły się zmieścić, mogła schudnąć, utyć, postarzeć. Podobne rozpoznanie, to dla niej na pewno stryżek. A jeżeli się pomyli? I druga sprawa. Co Maria Mandel miałaby robić w Kłodzku? Skąd? Jak? Czyżby zdołała ujść naszym władzom? Próbowała może przejść granicę? Ponadto, dlaczego właśnie wzywają mnie, zamiast kogoś, z wydziału politycznego Oświęcimia, kto widywał ją codziennie w biurze i mógł rozpoznać na prawdę łatwo. Setki pytań.

— Odpowiedź znajdzie pani w Kłodzku — wyjaśnił uprzejmie funkcjonariusz MO, którego rola kończyła się na doręczeniu mi telefonogramu.

Rzecz wyglądała bardzo poważnie. Mimo to nie pojechałam do Kłodzka. Dlaczego? Bo na przestrzeni lat, między wojną a dniem dzisiejszym, zbierałam obserwacje na temat ludzi posadzonych i wiedziałam już, ilu miewamy dookoła oskarżycieli typu Filipa z Kopni.

Zadzwoniłam do Kłodzka. Rozmawiałam dwa czy trzy razy. Równocześnie

śnie moja myśl, i na przedce zmobilizowaną grupą ludzi zainteresowanych problemem, pracowała bez przerwy. Wyjaśniono mi wreszcie, że pewna kobieta, robotnica, przebywająca na wolności, przypomina komuś Marię Mandel. Wyjaśniło się także, że moja ekspertyza była zbyt techniczna, chociażby dlatego, że Maria Mandel odpowiadała już w r. 1947 przed sądem w Krakowie i została skazana na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano.

Nie wiem, czy w sprawie kłodzkiej użyto anonimów. To w tej chwili nieważne.

Ważniejsze, że zdarzyło się tu fałszywe oskarżenie, które dotknęło kobietę chodzącą do pracy i nie mającą pojęcia, dlaczego ludzie zaczynają na nią patrzeć ze wstrętem.

Oskarżenia fałszywe zdarzały się zawsze. Jednak hamulcem dla lekkomyślnych oskarżycieli, którzy sami nie wiedzą, albo wiedzieć nie chcą, czy ich podejrzenia są słuszne, jest paragraf o karalności oszczerstwa. Za zniesławienie można odpowiadać utratą wolności, lub zapłacić karę. Anonim chroni fałszywych świadków. Anonim ułatwia sprawę, pozwala koloryzować, upiększać, dodać parę szczegółów „z głowy“. Anonim otwiera szerokie pole mściwości, dyktuje go często zawist albo złośliwa, chuligańska chęć męczenia, terrorizowania, siania między ludźmi strachu i niezgody. Anonim jest bronią niemoralną, ponieważ opiera się na tchórzostwie i innych najniższych uczuciach ludzkich. Żeby się sprzeciwić znu, żeby komuś w oczy postawić zarzuty, trzeba mieć odwagę. Mówimy: moralna odwaga. To sformułowanie sugeruje, w jakich kategoriach rozpatrywać problem anonimów. Właśnie w kategoriach moralnych. Oskarżyciel jest istotą bardzo ważną, chcemy, żeby swoje zarzuty poparł całym sobą, chcemy znać jego prawdę i prawdomówność, interesują nas rezultaty jego pracy, jesteśmy ciekawi, co zrobił dla poprawy sytuacji w środowisku, o którym pisze. Czy walczył o zmianę na lepsze? Czy może raczej bardzo się cieszy ze złych objawów i najpierw zamaskował, później śmieje się w kółka? Z anonimów rodzą się plotki, jak ze śmietnika muchy i robactwo. Zdarza się, że gdy fałszywe, czy błędne oskarżenie upada, sam oskarżony jest już człowiekiem złamanym, nieufnym, straconym na długo, może na zawsze.

Prawdopodobnie czytelnicy mają na ten temat znacznie więcej obserwacji niż ja. Myślę, że zechcą się wypowiedzieć, jak anonim wpływa na zdrowie, potrzebną do pracy atmosferę: dobrze, czy źle?

Według mnie broń ta jest bronią masowej zagłady uczciwości, bronią łamiącą i wypaczającą zasady zdrowej krytyki. Należy te broń usuwać spod ręki nas, oszczędzać oskarżycieli, strzelających zza płotu pod osłoną ciemności.

WANDA KARCZEWSKA

O miłości, młodzieży i o

ta spuścizna nie dawała kobiecie utrzymywanej przez mężczyznę, poczucia równowagi i godności. Ona to uczyla całe pokolenia kobiet uległości seksualnej. Jeszcze dziś, gdy kobieta uzyskuje prawo do pracy i nauki, nie zamierza starać się o równość z mężczyzną. On pracował, on zarabiał, on utrzymywał, on przychodził nieraz pijany, on wymagał uległości, jakże często niezależnie od tego, czy ona odczuwała porwy seksualne w stosunku do niego. To także i dlatego dzisiejszy młody chłopak zapytany czemu nie dba o opinię dziewcząt, dlaczego afiszuje się, chętnie zdobywa się seksualnymi i nie troszczy się o to, czy dziewczyna zadowolona z niego, odpowiada często: A co mnie to obchodzi? Na to jest baba, żeby z nią mieć przyjemność. Niech się sama martwi!

I dziewczęta martwią się potem same. Noszą wiadra z wodą, stosują gorące kąpiele, lękają chłinną, czasem używają nożyczek, — czasem popełniają samobójstwa. Najczęściej, nie mając możliwości usunięcia ciąży w legalny sposób, szukają pokątnych „babek“, które rozpoczynają usuwanie płodu; resztę załatwiają pogotowie i szpital. Fałszywe jest rozumowanie Jerzego Lovella w „Życiu Literackim“, który twierdzi, że moralność dziewcząt mierzy się ilością nieślubnych dzieci. Jeżeli chcemy mierzyć moralność w ten sposób, to za miernik należy uznać nie ilość nieślubnych dzieci, ale ilość nieurodzonych. I tych dzieci nie należy szukać w gliniankach, rzekach i ubikacjach. Tych dzieci należy szukać w szpitalach ginekologicznych, szczególnie w dni ostrych dyżurów. Trzeba zagłębić się w statystyki szpitali, w „wywiady“, które pokazują, ile dziewcząt dziennie zgłasza się z naruszoną ciążą. Ile to zjawia się w szpitalu „przypadków“, w których rodne organy kobiece oparzone są przez pokątną „babkę“ irygacjami (cena 40 zł) ze spirytusu, jody, ługu, mydła, pokute ostrymi narzędziami (cena 300—400 zł), czasem drutami od robót ręcznych, szprychami od rowe-

rów, widelcami. Ile dziewcząt rodzi w potwornych bólach na łózkach szpitalnych niedonoszony płód. Ile tu przychodzi kobiet o pokaleczonych macicach, przekroczonych czasem aż do jelit. Ile ust śluzowych z bólu na pytanie doktora „Co pani robiła?“ — powtarza uparcie — „Ja nie sobie nie pobilałam“. Uczciwa statystyka szpitalna mogłaby stać się miernikiem sytuacji moralnej dziewcząt, jeśli już takie do problemu tego przykładać miary. Zapytajcie lekarzy pracujących w szpitalach kobiecych, lekarzy opiekujących się zakładami pracy, ile jest rocznie przerwanych ciąży? Jeśli zechcą powiedzieć prawdę — sama tylko statystyka łódzka zjeży wam włosy na głowie. (Rzecz jasna w tej liczbie przerwanych ciąży duży odsetek stanowią kobiety zamężne, wielodzietne, [które ze względu na trudności ekonomiczne nie chcą powiększać rodzin. To jest zresztą zagadnienie samo w sobie — też wołające o jak najszybszą reformę].

Ale powiedziała: ilość nieślubnych dzieci, jak chce Jerzy Lovell, a nawet ilość nieurodzonych dzieci, nie może być jedynym wystarczającym miernikiem współczesnej moralności, aczkolwiek i ona sama mówi za siebie. Miernikiem jest raczej stosunek części młodzieży do zagadnień seksualnych, do aktu płciowego, jako do jeszcze jednej rozrywki, poza wódką, bijatyką itp., jakieś prostackie, prymitywne, zwierzęce niemal, ujmowanie tych spraw.

Warto się zastanowić — cośmy dali tej młodzieży?

Aktem sprawiedliwości dziejowej wysunięto młodzież chłopską i robotniczą naprzód, dano jej pierwszeństwo do nauki, do rozwoju kulturalnego, do pracy, do zarobków, jakich nigdy nie znała. (Bierzemy w zamian nie o wiele mniej — ona buduje Nową Hutę, ona pomaga wznosić kombinaty i zaorwać odłogi). Ale części tej młodzieży wydawało się, że biorąc tę paleczkę

„MIŁOŚĆ HISZPANKI” ALBO „OSTROGI GROZY”

W JEDNYM z paździenikowych numerów „Głosu Robotniczego”, Seweryna Szmagłewska zwracała się z apelem do młodych, by pisali o swoich trudnościach życiowych i o okolicznościach w jakich wchodzi w kolizję z obowiązującym porządkiem. Trudno przewidzieć w jakim stopniu młodzież odpowie na ten apel i czy dostarczy pożądanego materiału. Sprawa jest jednak bardzo ważna, gdyż ujawnienie przyczyn moralnego zagrożenia młodzieży jest nieodzownym i podstawowym elementem ich przezwyciężenia.

Niezależnie więc od materiałów dostarczonych ewentualnie przez samą młodzież, warto zająć się i faktami, które same przez się mogą rzucić wiele pożądanego światła. Oto dwa takie wymowne fakty:

Pierwszy: przed kilku tygodniami w sądzie dla nieletnich, w jednym z powiatowych miast śląskich, rozpatrywano była sprawa trzech chłopców, oskarżonych o zorganizowanie tajnego i wrogości państwu związku. Sprawę prowadził młoda kobieta, sędzia-asesor, członek ZMP. Wstępne badanie oskarżonych wykazało co następuje.

Trzej chłopcy — rówieśnicy, po 16 lat, byli uczniowie 9 klasy („byli” — gdyż do sprawy przebywali 6 mies. w schronisku dla nieletnich, ze szkoły zostali wydalen — uczyli się dobrze), dzieci robotników śląskich, członkowie ZMP — założyli tajną organizację pod nazwą Związek Młodych Orlów — Mściwicieli. Oskarżeni byli jedynymi członkami związku i zarazem najbliższymi kolegami. Nikt ich do zorganizowania się nie podmawiał, nikt ich nie instruował, z nikim też dotychczas na temat swego związku nie rozmawiali. Statut ułożyli sami. Właśnie wtedy, gdy statut był przepisywany „na czysto” przez „sekreterza” związku, na lekcji, nauczyciel przychwycił „statut” i sprawę wydał. Nauczyciel powiadomił dyrektora szkoły. Zwołano zebranie Rady Pedagogicznej, chłopców wydano ze szkoły, a sprawę przekazano władzom. Jednocześnie szkolne koło ZMP usunęło chłopców z szeregu organizacji.

Na salę sądową chłopcy weszli pewni siebie, hardzi. Wydaje się, że chcieli zagrać rolę bohaterów, gotowych na wszystko. Szybko jednak postawa ich uległa zmianie pod wpływem sędziego. Wprawdzie to, łańcuch na szyi i sędziowskie nakrycie głowy — mogły robić groźne wrażenie, lecz przyjazny uśmiech, oczy zdradzające szczere zainteresowanie i serdeczny ton w zapytaniach sadzącej — wytrąciły chłopców z przyjętej postawy. Szybko więc zapomniał o sztywnym stosunku pomiędzy oskarżonymi a sędzią.

W takiej właśnie atmosferze i w toku raczej rozmowy niż przesłuchania, ujawniło się, że chłopcy zamierzali walczyć przeciwko „włączeniu” Polski do ZSRR. „Włączenie” widzieli w kolektywizacji wsi oraz w tym, że w czasie różnych uroczystości społecznych i państwowych bywają wywieszane czerwone flagi, które dla tych chłopców były oznakami obejmowania przez Związek Radziecki naszego kraju. Formy walki mieli dopiero ustalić, lecz nie wykluczali tego, że mogło to być niszczenie dobra spółdzielni produkcyjnych i zdzieranie czerwonych flag.

Na tym sprawa mogła się właściwie skończyć i zapewne podobne sprawy kończą w większości wypadków w tym miejscu; materiał dowodowy został zebrany i można chłopców skazać, tak jak to zresztą zrobiła szkoła i ZMP. Jednak w tym wypadku sędzia nie ograniczyła się do stwierdzenia faktów, lecz wdała się z oskarżonymi w dyskusję o istocie kolektywizacji wsi — i okazało się, że chłopcy ci nie mieli żadnego pojęcia o socjalistycznej gospodarce. Dopiero na sali sądowej zaczęli dochodzić do wniosków, że kolektywna gospodarka ułatwia życie rolnikowi, zwalnia z wielu trosk, że to jest właśnie dobry sposób pracy i współzycia chłopów — i co najważniejsze, uznali, że spółdzielnie produkcyjne w żadnym razie nie mogą być uważane przez rozsądnego człowieka, za przejaw przemoce jednego państwa nad drugim. Żywa dyskusja wywołała czerwone flagi, ale gdy sędzia uświadomiła im znaczenie czerwieni, jako symbolu krwi przelanej w walce o wolność ludzi uciemiężonych — chłopcom nie tylko otwarły się oczy, lecz również widać było wyraźne ich zawstydzenie.

Pod wpływem rozprawy chłopcy zrozumieli swoje błędne postępowanie.

W wyroku sąd orzekł umiarkowanie i zwolnił chłopców do domów, polecając rodzicom, aby nie przerywali nauki dzieciom.

Drugi fakt.

Do Redakcji „Kroniki” wpłynęła „powieść kryminalna osnuta na fcie podan autoru” pt. „OSTROGI GROZY — tom II. Miłość Hiszpanki” — tom II. Tomy te — to po prostu zeszyty, na wzór dawnego „Świata Przygód” lub „Nata Pinkerton”. Autorem owej powieści jest 15-letni chłopiec, o bardzo przyjemnej powierzchowności i inteligentnym wyrazie oczu. Jest synem robotniczej rodziny łódzkiej, byłym uczniem VIII klasy jednego z TPD-owskich liceów w Łodzi. Usunęło go ze szkoły, gdyż nie otrzymał promocji do klasy IX. Zarzucono mu ponadto, i to było zdaje się głównym powodem usunięcia ze szkoły, że trudnił

się pisanie powieści kryminalnych. Pisywał zresztą na wszystkich lekcjach, na zajęciach pozalekcyjnych i w domu. Zewnętrzny wygląd tej „powieści” jest dostatecznie wymowny i nie wymaga komentarzy. Zastanawiająca jest jednak jej treść. Na 37 kartkach zeszytów ról się od zbrodni, opisów techniki morderstwa i oszukaństw.

Pierwszy tom, to opis przygód dwu podróżników — autora i jego kolegi — na statku, który został opanowany przez bandytów. Na czele bandy stał kapitan De Rico. Zalogę statku bandyci wymordowali, oszczędzili tylko autora i jego kolegę, gdyż hersztowi bandy zaimponował autor odwagą, a szczególnie tym, że bronił się, błyskawicznie dobył miek, który nosił stale w lewej kieszeni. Scenę z tym miekiem autor zilustrował rysunkiem (komunikat prasowy podał, że u bandyty Paramonowa też znaleziono w kieszeni miek. Młotek lub odważnik często bywają używane w chuligańskich wyczynach).



Drugi tom, to opis dalszych wyczynów kapitana De Rico. De Rico postanawia otworzyć w Anglii lokal rozrywkowy, co w rodzaju kabaretu „dla młodzieży miejskiej” — pisze autor.

Plany swoje De Rico zrealizował. Lokal rozrywkowy został otwarty i oczywiście zapelniony tłumami młodzieży. Gdy De Rico przebywał sam na sam z bogatą Marią, wpadła zmienną druga jego kochanka Manilla, właścicielka kabaretu i usiłowała zabić oszusta. De Rico był silniejszy i miał rewolwer, a Manilla tylko sztylet, więc zabił ją, a „jeszcze do leżące wpakował cały magazynek naboju”.

Tyle sama powieść. Dodam jeszcze krótkie sprawozdanie z rozmowy z chłopcem i przedstawicielami szkoły.

Chłopiec ma bardzo bujną fantazję. Marzą mu się niezwykle czyny, podróże, walki i przygody. Pragnąłby przeżyć wiele przygód, aby potem móc opowiadać i opisywać. Lubi opowiadać. Gdy sprowokowałem go do opowiadania,

ły dzieła klasyków i wszystkie postaci wyzwoiliwszy się ze sloganowych formuł, zaczęły żyć pełnym ludzkim życiem. Nadszedł czas wielkiej poezji w teatrze, czas legend o miłości, czas baśni, czas Romea i Julii czy Zeyerowskiego Raduza i Mahuleny. I nadszedł czas liryki. Droga współczesnego pisarza nie była łatwa. Jakże niedalekie są te lata, gdy na poetów ludzkiego serca patrzono jak na niemodnych facetów w szkapalakach lub na panlusie w tiunirach. Redaktorzy pism, jeżeli się ktoś zdobywał na postanie tzw. czystego liryka, wiersz taki kwalifikowali najczęściej: „interesujący, ale do tomu”. Jak niewiele było wierszy mówiących o wszystkich chwilach miłości, uniesieniu, smutku, o trwodzie i niepokoju, o rozpacz po stracie ukochanej. A jak bardzo potrzebne były takie wiersze świadczą fakt, że nieliczne, nie najmocniejsze wiersze krążyły w odpisach pomiędzy młodzieżą studentką. Tymi wierszami młodzież wyznawali sobie miłość, zapewniali się nawzajem o niej i przyrzekli sobie wierność i wytrwałość w uczuciach. Pesymizm i smutek wiersza miłosnego wydawał się niektórym receptodawcom, czy bojaźliwym, a nie niepewnym ideologicznie krytykom, czymś niesocjalistycznym, a rozpacz po stracie ukochanego — niekomunistyczna. A jak ma literatura uczyć młodzież socjalistyczną kulturę uczyć, wartości posiadania serca bliskiego człowieka, ceny wierności? Jeśli uparcie pocięli takie wiersze, to w minimalnym stopniu wchodziły one na łamy pism, a jeśli tomy zawierające takie utwory były recenzowane, to raczej za pozycje nie z tego świata. Dziś, rzecz jasna, jest dużo lepiej.

Ale zadanie współczesnego pisarza w dalszym ciągu nie będzie łatwe. Trudność polega na tym, że literatura nasza, jeśli ma uczyć kulturę uczyć, musi być w pewnym, nieuprzedzonym sensie wychowawcza. A jednocześnie musi być prawdziwym świadectwem epoki. Musi wymierzać naszemu czasowi „prawdliwość”. Musi mówić o brzydkiej miłości, o miłości bez kultury. I o piętnastoletnich wazkowskich kurewkach i o siedemnastoletnich niesłubnych ojcach i o młodzieńskich twarzach, już tak „dobrze obytych z miłością”. Jak to trafnie powiedział Adolf Rudnicki.

(Dokończenie na str. 6)

Jeszcze o reportażu

SPÓR o reportaż? J. Koprowskiego („Kronika” nr 11) — to artykuł i w treści i w tytule niewątpliwie przewidujący. Autor polemizuje z płytkim pojmowaniem istoty reportażu i omawia jego poetykę przytaczając opinie Gorkiego oraz współczesnych literatów i dziennikarzy niemieckich czy francuskich. Czyni to jednak w taki sposób, że niekiedy dość trudno oddzielić opinie innych od jego własnych poglądów na ten temat i nie zawsze wiadomo, co i któremu ze wspomnianych autorów przypisać. Ponieważ Koprowski solidaryzuje się z pełnością z tymi opiniami i ponieważ nie my musimy ponosić konsekwencji jego uchybienia metodologicznego, sądzę, że mamy zupełne prawo wszelkie uwagi kierować bezpośrednio pod jego adresem, by w ten sposób uniknąć ewentualnych niejasności w polemice.

Ze „reportaż opiera się na faktach”, że „posuwa naszą wiedzę o życiu naprzód”, że „jest gatunkiem literackim i jako taki ma swoje określone prawo” — to sądy, z którymi każdy się zgodzi. Ze „wymaga dobrej roboty literackiej”, że reporter powinien przystąpić do pracy „z pozycji człowieka zaangażowanego w życie swojego kraju” — to stwierdzenia tak samo słuszne i autor, który je referuje i przypomina nie jest bez obywatelskiej zasługi. Jak dotychczas, takie pojmowanie istoty reportażu nie budzi zastrzeżeń i jest najzupełniej zgodne również z etymologicznym znaczeniem wyrazu: „reportage” („reporter” — odnieść (nazad), zdawać sprawę, „reportare” — nazad odnieść, w sensie przenośnym: przenosić). Znaczenie tego czasownika, identyczne w języku łacińskim i francuskim nie przeciwstawia się znaczeniu rzeczownika „reportage” — sprawozdanie dziennikarskie, przy czym to „sprawozdanie”, jak każdy „sensowny twór słowny” (określenie prof. St. Skwarczyńskiego), należy do literatury, a więc jest lub może być twórczością artystyczną. Tak więc nawet znaczenie etymologiczne słowa wydawdnia najistotniejszą cechę gatunku tym mianem określonego, a tą cechą jest zgodność przedstawiania danej rzeczywistości z rzeczywistym, historycznym stanem rzeczy. Z istnieniem tej cechy rodzajowej reportażu zgadza się najzupełniej i Jan Koprowski, nie poprzestając jednak na tym i, rozszerzając stosunek reportażu do faktu, pisze dalej, że reportaż „wychodzi z faktu, ale na nim nie poprzestaje” oraz, że „nie można wyobrazić sobie reportażu bez fikcji (prawdy uogólnionej)”. W innym miejscu znowu czytamy: „Jeśli twierdzimy, że reportaż jest gatunkiem literackim, że przynależy do twórczości artystycznej, to nie możemy mu odebrać prawa do fikcji. Lichy to reportaż, który poza zestawieniem faktów nie nie potrafi powiedzieć o nauce, która z nich płynie, o prawdzie, której one dowodzą lub przeczą”.

Tu jednak zaczynamy się rzeczy niepokojące a niejasne... Co to jest owa „fikcja (prawda uogólniona)”? Czy to ma być jak zdaje się wynikać z drugiej cytaty, ta „nauka, która płynie z faktów, prawda, której one dowodzą lub przeczą”? — ale takie rozszerzenie zakresu pojęcia fikcji doprowadziłoby do zupełnego pomieszania pojęć. Sprawy tej nie wysławiajmy jaśniejsze, można by mniemać, wypowiedzi na ten temat („Fikcja, jak my ją rozumiemy, winna stanowić w reportażu naturalne jego dopełnienie, ale z faktów wysnuć, że prawdy wyprowadzone”), ani rozwinięcie cytaty z Gorkiego („W takim reportażu” (który nie jest wyprany z fikcji literackiej — przypisek mój — KK) mogą być myślnie nazwiska bohaterów, zmyślone nazwy miejscowości, jedno musi być prawdziwe: „problem”), raczej przeprząc poprzedniemu sformułowaniu lub innego rodzaju „fikcję” sugerującą. Jakkolwiek jest, jedno wydaje się pewne: skoro przez fikcję literacką rozumiemy zmyślenie fabularne, to dla takiej fikcji w reportażu nie powinno być chyba miejsca. Nie obchodzi nas, jak chce Koprowski, czy dr X. w Kielcach (vide: „Ludzie dnia wczorajszego”), sympatycznie i ciekawie napisał reportaż Budreckiego w „Kronice” nr 11) „jest w rzeczywistości łysy, czy też ma bujną czuprynę... ważne jest, co on myśli, jaka jest jego świadomość, udział w pomnażaniu bogactwa kraju” (cyt. z art. Koprowskiego), ale właśnie dlatego, wbrew koncepcjom Koprowskiego, dr X. nie może być „zmyślonym dr X.”, zlepkim postaci rzeczywistych” (Budrecki — „Ludzie dnia wczorajszego”). Tego rodzaju zmyślenie fabularne i każde w ogóle, choćby minimalne, przekształcenie opisywanej rzeczywistości jest jednoznaczne z jej deformacją, (choćby nawet problem związany z opisywanymi faktami się nie zmienił), jest jednoznaczne z jej zafałszowaniem, a to przecież zasadnicze cechy reportażu, tj. zgodności przedstawienia zdarzeń z rzeczywistym stanem rzeczy.

I sprawa dalsza: czy, jeżeli odbierzemy reportażowi prawo do fikcji, przestanie on, jakby wynikało z przytoczonej powyżej cytaty, być gatunkiem

(Dokończenie na str. 6)

„Poemacie dla dorosłych”

piętnastka, bierze ją dla swoich cech tak dobrych jak i złych, dla swoich pracowitości i ofiarności, jak również dla nieuctwa i braku kultury. Zresztą ten brak kultury uczyć często pojmowany był jako szczególnie cenne znamię proletariackości: strojono się w chamsztwo w stosunku do kobiet, do człowieka w ogóle, w prostactwo w miłości, podobnie jak wewnętrzny mieszcuch stroi się w krasiastą brudną koszulę bez krawata, splotu i używa wulgarnych słów, mniemając iż to go pasuje na proletariusza i bolszewika.

Młodzież wysunęliśmy także przed starszych. Uczyliśmy młodzież czujności wobec wrogów, mówiliśmy o konieczności walki nowego ze starym, a nie wiedzieć kiedy młodzież, zamiast ze „starym”, zaczęła często walczyć ze starymi. To młodzież jeszcze nie tak dawno „ustawiała” nauczycieli, profesorów, starych intelektualistów, odejmowała starszemu pokoleniu prawo sądenia i krytyki. Odrzucała ich pomoc, choćby w tym starym była i dobre rzeczy, na bycie w doświadczeniu wielu pokoleń. Nadwężony został autorytet nauczyciela, autorytet domu, tak konieczny, gdy się było zmuszonym odrzucić nie odpowiadające nam zasady wychowania religijnego, a gdy jeszcze nie wypracowało się i nie wpoilo zasad nowych. To dlatego niejedna matka, gdy zwraca uwagę wracającemu w nocy chłopcu, słyszy dziś nawet szorstkie, wgardliwe słowa: „Idź mama spać! Matka nie nie rozumie, to są nowe czasy!” To dlatego dziewczyna, która w budynku przychodzi dla młodzieży pozwala sobie na seksualne wybryki, odpowiada starszej pielęgniarce: „A co mi pani zrobi?”

Ile jest w tym winy samej młodzieży, ile zawiła szkoła — podstawowa, średnia, wyższa? Film, teatr, książka, działacz oświatowy? Ile winy nauczyciela, krytyka, twórcy podręcznika szkolnego, ile winy działaczy politycznych? Winy nas wszystkich? Polonistka ubolewa, że według programów szkolnych na omówienie „Przedwiośnia” Żeromskiego ma 5 godzin,

co absolutnie nie wystarczy. Żeby móc choć pobieżnie omówić narzucającą się młodzieży, sprawę uczyć bohaterów. W zapoznawaniu z dziełami klasyki stawiano na pierwszym miejscu obowiązki wyciągnięcia, niekiedy na siłę, problemu społeczno-politycznego. W podręcznikach szkolnych poezję współczesną początkowo reprezentowały schematyczne, wierszowane frazesy najmłodszych poetów, w najlepszym wypadku Broniewski ze swymi wierszami politycznymi. Dopiero po walce weszli do podręczników starsi pisarze i to z wierszami miłe specjalnie lirycznym. Co mówić o prozie? Na jakich przykładach miała się uczyć młodzież szkolna kultury uczyć, uczyć przyjaźni, wierności, miłości — tej miłości, która sprawia, że istniejemy jako gatunek ludzki.

Czy dziwne się zatem wydaje, że niektórzy chłopcy czytając wiersze Galczyńskiego — wybuchają śmiechem, mówiąc, że to jakieś „dziki”, a dziłkim im się nie wydaje spotykane objawy zdziwienia obyczajów?

Od pewnego czasu „Sztandar Młodych”, jedno z najżywiej redagowanych pism, prowadzi rubrykę „Jak się kulturalnie zachować” — w towarzystwie, w tramwaju, kawiarni, przy stole, wobec kobiet, na dancingu. Ale w jaki sposób nauczyć naszą młodzież pięknie się kochać, być odpowiedzialnym w miłości, odpowiedzialnym za zdrowie kobiety, za poczęcie dziecka i wychowanie go? Jak wybić z głowy, że wódka i łóżko, wulgarność i prostactwo w miłości to nie oznaka „nowych czasów”, że bikiński erotyczny i chuligan w miłości, dziś, gdy klasa robotnicza stała się klasą pierwszą, to jakieś odpowiedniki dzikarzy z mieszczańskich salonów lub ucherubionych uwodzicieli, odpowiedniki Zbyszczków Dulskich czy Maupassantowskich Gontranów de Ravenel?

Leży przed całym społeczeństwem ogromny trud, ale trudny możliwy do udźwignięcia. Jest najwyższy czas, aby w szkołach na lekcjach polskiego oży-

Kancik czyli wszystko się zmieniło



DO CIĄG zatrzymał się na małej stacji. Dziennikarz wysiadł. Szedł wzdłuż starych i śmiesznych wagonów trzymając w ręku skózaną walizkę. Był chmurny dzień jesienny; na bezlistnych drzewach grubymi kropkami osiadała mgła. Człowiek z pociągu spojrzął na niebo i wzdygnął się ze wstrętem — wyglądało jak brudna ścierka. Po peronie szedł zawiadowca z czerwoną chorągiewką; był podobny do starego, wąsatego morsa. Człowiek, który wysiadł z pociągu, zaszedł mu drogę.

— Daleko do miasta? — zapytał.

Zawiadowca przystanął.

— Pan chce iść do miasta? — powiedział bijąc się po ręce trzonkiem chorągiewki.

— Dlatego pytam o drogę — powiedział dziennikarz. — Następny pociąg mam za parę godzin, jadę dalej. — Przesunął ręką po twarzy i powiedział: — Muszę się iść ogolić. Nie spałem przez dwie noce, mam pysk bandyty.

Szli po wilgotnym żwirze peronu. Pociąg już odjechał, w mętym po-

wietrze leniwie rozpyływał się dym. Szyny lśniły od wilgoci, daleko błyskały światła semaforów. Zawiadowca powiedział:

— Daleko pan jedzie?

— Wystarczająco daleko. Chciałbym już wrócić do domu.

— Pracuje pan może w zaopatrzeniu?

— Skąd panu przyszło do głowy zaopatrzenie? Pracuję w redakcji.

— Mój syn pracuje w zaopatrzeniu — powiedział zawiadowca. — Jest w Warszawie. Pan też z Warszawy?

— Też.

— Może pan go zna?

— Może.

— Majewski Kazimierz, zna pan?

— Nie.

— Oni ciągle jeżdżą.

— Niepotrzebnie. Powinni siedzieć w domu.

— Dlaczego?

— Z pociągu można wylecieć — powiedział z rozdrażnieniem dziennikarz.

— W pociągu można się zaziębić. Daleko jest do tego miasta?

— W pociągu poznałem kiedyś jedną kobietę — powiedział zawiadowca.

— I co?

— Nic. Pojechała dalej.

— To szlachetnie z jej strony — rzekł dziennikarz i ziewnął. Potem spytał: — To co? Daleko do miasta?

— Miasto jest zaraz — rzekł stary.

Wasy miał wilgotne. Zmrużył oko i zapytał: — Pan na pewno do fryzjera?

— Co to pana obchodzi?

— Myślałem, że pan może chce się napić jedną wódkę. Mam w domu.

— Nic się nie zmienia w tych małych, przekłębionych dziurach — powiedział z gniewem dziennikarz. — Sam urodziłem się w takiej dziurze. Czy tu także jest spelunka przy kościele?

— Nie. Apteka.

— Słyszałem — rzekł dziennikarz — że tu się zmieniło mnóstwo rzeczy. Wybudowali wam coś nie coś. Czy to prawda?

— Prawda — powiedział zawiadowca. — Przekona się pan na miejscu. Do miasta jest niedaleko. Piętnaście minut. Wstąpi pan do mnie?

— Nie — powiedział dziennikarz. — Do widzenia.

Rzeczywiście, po piętnastu minutach był już w mieście. Na rynku stało kilka furmanek; konie drzemały zwiesiwszy tby w torby z obrokiem. Na ulicach walało się pełno słomy; widocznie był tu dziś targ. Deszcz padał, przechodnie kulili się z zimna.

— Gdzie jest fryzjer? — zapytał dziennikarz jakiegoś człowieka o nieokreślonej twarzy, nieokreślonym zawołanie i nieokreślonym wieku.

— Co?

— Fryzjer.

— Co fryzjer?

— Jest fryzjer?

— Gdzie?

— Tu.

— Tu?

— Tak, tu.

— To co?

— Gówno. Rozumie pan teraz?

— Nie — powiedział nieokreślony człowiek i na jego twarzy odbiła się męka myślenia. — Ja jestem tujejszy, panie. A fryzjer — to tam zaraz. Za winklem.

— Nie za winklem, a za rogiem.

— A to ja nie znam.

— Ale ja znam — powiedział dziennikarz. — Do widzenia.

Odszedł i zaraz znalazł fryzjera. Nad drzwiami wisiał mosiężny talerz, na wystawie — lalka w uczesanej peruce wpatrywała się bezmyślnymi oczyma w szarą pustkę ulicy. Sztyl był stary i zardzewiały. Dziennikarz wszedł.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odparł fryzjer. — Niech pan siada.

Dziennikarz usiadł i wyciągnął nogi. Parował zmęczeniem; jechał już trzecią noc, widział mnóstwo twarzy, poznał wiele faktów; wiele razy usiłowało go oszukać — marzył, aby wrócić już do Warszawy i wyciągnąć się na własnym łóżku. Miał małą, czarną dziewczynę o twarzy podobnej do Mickey Mouse; cały czas wściekał się na myśl, że w jego własnym, wygodnym łóżku, z jego własną, małą dziewczyną — być może — śpi ktoś inny.

Fryzjer założył mu serwetkę na szyję i powiedział:

— Pompkę pan wyjął?

— Jaką pompkę?

— Pan nie na rowerze?

— Nie — powiedział dziennikarz. — A co — kradną?

— E — powiedział fryzjer — żeby kradli, to nie. Ale kierownik samopomocy zgubił swoją pompkę; jego wentyl puszcza, więc lepiej jednak wnieść. Tak to bywa w życiu, rozumie pan?

— Rozumiem — powiedział dziennikarz i spojrzął na fryzjera. Fryzjer był stary; miał lysą głowę pokrytą śmieszny, kaczym puchem, odstające, zwiedzione uszy i białe spojrzenie czarnych ślepek. Zapytał:

— Mycie będzie?

— Nie.

— Nie będzie — powtórzył. Zatopił szpony we włosy dziennikarza i powiedział: — Główkę niżej. To co? Strzyżenie i golenie?

— Strzyżenie i golenie.

— Mycia nie będzie?

— Nie będzie.

— Ach — powiedział i na twarzy jego odmalowało się niesłychane skupienie. Milczał przez chwilę patrząc na dziennikarza wzrokiem chirurga, potem rzekł:

— Pana ostrzyć w kancik?

— Broni Boże. Normalnie.

— Oczywiście — powiedział. — Oczywiście, że normalnie. Panie, teraz w kancik to już nikt nie chce. Przedtem to się strzygli. A przeważnie łobuzeria. Tu mieszkali taki jeden, parę domów dalej. Niejaki Łoniek Maciejewszczak. Zawsze przychodził do mnie w sobotę i mówił: „No, panie Sobisiak! Ostrzyżesz mnie pan teraz legalnie, w kancik. Tylko żeby mnie się włos trzymał pięknie, bo inaczej to pan mnie znasz!” On tak mówił. Panie, co to był za łobuz! Największy w całym mieście. Mówię panu: pan by nie chciał od niego dostać w mordę. Wierzy mi pan?

— Absolutnie — powiedział dziennikarz i poprawił się w fotelu.

— On miał koleżków. Rzecz jasna, że także samo grande. Co sobota wychodził pod kościół i grał w taką grę, „frajer na kresce”. Rysowali na chodniku kreskę i kto by nie przeszedł — dawali mu blachę w czoło.

— Po co?

— A tak. Dla hecy. Teraz, to już ich nie ma. Zmieniło się.

— Zmieniło się?

— O, tak — powiedział z ożywieniem fryzjer. — Samo się nie zmieniło, ludzie wszystko zmienili. Prawdę powiedzieć — to wszystko się zmieniło. Fabrykę nam tu budują, pan wie? Instrumenta muzyczne będą się tu robić, chłopków już posłali gdzie indziej na naukę. Przed wojną był tutaj tylko jeden fachowiec od instrumentów. Organy naprawiali. Trunkowice. Mówiło

się do niego „mistrzu”. On sam mówił: „Wy, gówniarze, musicie mówić do mnie mistrzu. Ja jestem człowiekiem od delikatnej roboty. Jeśli mnie tu szlag trafi, to wszyscy zdechniecie w grzechu, bo kościoły zamkną — kościół bez muzyki nie ma u Boga żadnej zasługi, choćbyście nawet po dziesięć złotych dawali!” No i mówiło się do niego tak jak chciał. Pił. Pił tak, jak tu nikt jeszcze nie pił i nigdy już pić nie będzie. Czasem trzy dni a czasem pięć. Chodził po mieście i krzyczał: „Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam!” — Ewangelie znał, ciągle w kościołach siedział. Po łacinie też się potrafił wyrazić. U mnie się strzygli. Także samo w kancik. A pana jak ostrzyć? W kancik?

— Normalnie — powiedział dziennikarz i westchnął. Lustro przed którym siedział opstryzył muchy. Dziennikarz patrzył przez długą chwilę na czarne kropki, potem zapytał: — No i co z nim?

— Z nim? — powiedział fryzjer. — Nic z nim. Umarł. Przed śmiercią krzyczał: „Nie ma Pana Boga, wy gówniarze! Jak chcecie posłuchać muzyki, to załóżcie sobie elektrykę i kupcie radia zamiast chodzić do kościoła!” Wódka go zgubiła. Teraz to już tak nie piją. Wszystko się zmieniło, czasu nie ma na łobuzerkę. Wielkie rzeczy tu idą, panie. Ludzie się pozmienniali: pracują, mają facha, całkiem inaczej myślą. Ja też panie, inny człowiek jestem. Chyba rzucę to fryzjerstwo do cholery. Krem?

— Tak — powiedział dziennikarz. Spojrzał na fryzjera i rzekł: — Stary pan już jest. Teraz, na stare lata fach zmieniać ciężko panu będzie.

— Tak — powiedział fryzjer — stary jestem. Pan nawet nie wie jaki stary jestem; mam prawie osiemdziesiątkę. Córka moja jest w Wenezueli, mam wnuka, panie. Chce pan zobaczyć fotografie?

— Po co? — rzekł dziennikarz. — Cóż mnie u diabła obchodzić może pański wnuk?

— No właśnie — powiedział fryzjer marszcząc czoło. — Co pana może obchodzić mój wnuk? A czasem by się chciało pogadać. Ale nie ma z kim. Dawniej — bywało — ludzie siadywali przed domami, gadali, plotkowali. Teraz to już nie. Nie mają czasu: albo długo pracują, albo idą gdzieś do kina, mają radia, młodzieki lubią sport. A ja panie, taki człowiek znowu jestem, że najbardziej lubię towarzystwo. Słowo, to jest zawsze słowo. Dawniej ludzie więcej rozmawiali z sobą niż teraz. Byli tacy, co potrafili opowiadać. Bur-

ostatnie urodziło się pół roku temu i było rude. Barcikowski brunet, włos miał jak drut i nie mógł uwierzyć, że te ostatnie, te rude — to też jego. Więc bił ją i pytał: „Mów: moje, czy nie moje?” Po tygodniu ona umiera i mówi do niego ostatnie słowa: „Te pięte twoje, ale czworo tamtych — nie”. Potem skonała. Barcikowski wypił butelkę, wziął siekiere, i — wszystkie pięciore. Tak, panie. Różne hece tu były w miasteczku. Teraz to już nie. Wszystko się zmieniło; budują, pracują, to i na głupoty nie ma czasu. Teraz panie, ważniejsze rzeczy każdy ma na głowie.

Przestał mówić. Odszedł o krok i przyglądał się facetowi na fotelu wzrokiem człowieka, który ukończył w tej chwili największe dzieło swego życia. Potem powiedział:

— Gotowe. Mycia nie będzie?

— Nie będzie mycia — powiedział dziennikarz. Przyjrzał się staremu i zapytał: — Nie wybiera się pan czasem do Warszawy?

— Stary już jestem — powiedział fryzjer pobrząkując narzędziami. — Nie dla mnie taka podróż, panie.

— Zobaczy pan ludzi.

— Wszędzie są ludzie.

— Tak — powiedział dziennikarz. — Dobrze, że przyszedłem do pana, panie starszy. Wracalem w złym humorze. W terenie ludzie bujają, boją się. Teraz będzie jakoś przyjemniej wracać.

— Wracać jest zawsze przyjemnie — powiedział fryzjer. — Dom — to jest dom.

— Nie o to chodzi — powiedział dziennikarz. — Jak Boga kocham, że nie o to chodzi. Ale przyjemnie jest zobaczyć, że człowiek w małym, zasnurym mieście, w takim mieście, gdzie bez przerwy pada deszcz i bez przerwy jest błoto; w takim mieście, gdzie nie ma światła, i w takim mieście, gdzie jak jedną kurwę boli ząb, to już nie ma nocnego życia — zupełnie zmienił się człowiek. To jest przyjemnie zobaczyć.

— O, tak — powiedział fryzjer. No cóż: czasy są wielkie, panie, to i człowiek się zmienia. — Ja panie, zupełnie się zmieniłem.

— Przyjdź pan kiedy do Warszawy.

— Umrę chyba niedługo.

— Jak pan chce.

Dziennikarz wyszedł i znów brnął błotem przez rynek; konie, tak jak i przed godziną, drzemały ze zwieszonymi łbami. Na furkach spali pijani chłopcy. Deszcz padał; miasto jak wstrętny, plugawy grzyb, nasiąkało wilgocią. Niebo, jak przed godziną, miało kolor pomny. Dziennikarz idąc gwizdał.

W sprawie autorytetu

(Dokończenie ze str. 1)

stwem specjalistów, jeżeli w ogóle chce się utrzymać na powierzchni nowoczesnego życia, lecz są to raczej głosy przedstawicieli nauk ścisłych i technicznych. Jestem przekonany, że specjalizacja jest konieczna, lecz konieczna jest również ogólna kultura umysłowa i że uniwersytety taką kulturę powinny rozwijać i przekazywać swoim wychowankom.

Czy nasze uniwersytety tworzą taką kulturę? Czy uniwersytety nasze są instytucjami autorytetu moralnego i intelektualnego? W niewielkim stopniu. Czy mogą być nimi? Nie tylko mogą, ale i czym prędzej powinny.

Odbudowaliśmy uniwersytety po wojnie przejmując również cały balast trudności, jakie one napotykały już w okresie międzywojennym. Reorganizacja zmierzająca do przekształcenia ich na uczelnie socjalistyczne spowodowała nowe trudności. Odrzuciliśmy zasady autonomii, uważając, że uniwersytety nigdy nie służyły wyłącznie czystej nauce i zdobywaniu prawdy naukowej, a były instytucjami służącymi klasom panującym — lecz nie analizowaliśmy dokładnie, jak daleko sięgała ta zależność i w jakim stopniu ta zależność hamowała świetny rozwój uczelni liberalnych. Postawiliśmy hasło służby uniwersytetu wobec wymagań budownictwa socjalistycznego, nie pytając również jak daleko ma iść ta służba, i kto ma decydować o tym, co w pracy uniwersytetu służy, a co nie służy, sprawie socjalizmu.

Przyjęliśmy zasadę planowania pracy naukowej. Ustaliśmy plany szkolenia. Przekształciliśmy pracę badawczą, wychowawczą i dydaktyczną opierając ją na zasadach marksizmu — leninizmu. Szkoda, że nie postawiliśmy od razu sprawy autorytetu, bo uniknęlibyśmy wielu błędów.

Większość profesury, chcąc lojalnie pomóc w budowaniu ustroju sprawiedliwej społeczności, czyniła w tym kierunku poważne wysiłki, szkoląc się ideologicznie i słuchając autorytetów, które możemy chyba nazwać autorytetami „ustawiać” t. j. ludzi posiadających „wiedzę doskonałą” i mogących „ustawić” każdego profesora zwłaszcza w dziedzinie humanistyki. Działalność ustawiający przyniosła nam wiele szkód nie tylko w dziedzinie nauki, o których pisze prof. Chałasiński, lecz również w dziedzinie wychowania. Tutaj prowadziła ona do utraty zaufania i szacunku młodzieży studiującej, patrzącej nieraz w zupełnej dezorientacji na szerzące się na naszych wyższych uczelniach zakłamanie i obłudę. Wtedy, gdy autorytetem były często grupki niedowarzonych młokosów, oceniających na naradach produkcyjnych także czy inne wypowiedzi asystentów i profesorów — wtedy nie było również mowy o właściwym wychowaniu.

Urabianie wychowawcze młodzieży jest możliwe tylko wtedy, jeśli ideał

stawiany przed oczy wychowankowi, jest rzeczywiście realizowany przez wychowawców i przez społeczeństwo (t. j. rodzin, kolektywy zawodowe i t. p.), w których wychowanek żyje. Sądzę, że wiele z naszych trudności wychowawczych wynika z rozbieżności między zbyt wysokim postulowaniem ideału a rzeczywistością codziennej praktyki uczelnianej i pozauczelnianej. Stawiamy przed oczy młodzieży wzór człowieka, który występuje w powieściach, a w życiu jest takich ludzi niesłychanie mało. Wręcz przeciwnie, jest bardzo dużo ludzi zupełnie odmiennych, cieszących się sukcesami życiowymi. Stawiamy przed oczy ideał ustroju — a rzeczywistość codzienna i codzienne życie uczelni ukazują młodzieży wiele rzeczy zupełnie obcych temu ideałowi. Stąd młodzież podejrzewa nas szczerze o nieszczerłość i zakłamanie, nie ma do nas zaufania i nie traktuje nas na serio.

Problem autorytetu w uniwersytetach dojrzeła do szybkiego rozstrzygnięcia. Wymaga on prawa do mówienia prawdy. Np. wbrew oczywistemu świadectwu oczu czytających w bieżących czasopiśmie o szybkim rozwoju nauki w krajach kapitalistycznych, głosiliśmy — ulegając terrorowi fałszywych autorytetów — tezy o upadku tej nauki. Na pytanie, czy lojalność wobec socjalizmu musi prowadzić do głoszenia takich też niegodnych z prawdą i sumieniem — odpowiadaliśmy wzruszeniem ramion, wskazując czy to na cenę strachu, czy cenę kariery. W historii nauki zawsze decydował jeden autorytet: poprawna obserwacja faktów i poprawne rozumowanie. Gdzie autorytet ten przestaje działać — tam kończy się nauka. I to jest jedyna granica naszej lojalności wobec socjalizmu. Nie można mu służyć fałszując fakty.

Podobnie ma się sprawa w wychowaniu. Nie ma wychowawcy bez możliwości sprzeciwienia się nakazom niezgodnym z sumieniem. Jeżeli ktoś chce służyć socjalizmowi, odkładając siebie i innych — to będzie mu tylko szkodzić. Jeżeli autorytetem w nauce jest poprawność metody, to autorytetem w wychowaniu jest godność człowieka prawdomównego. Bez tych autorytetów nasze uniwersytety nie spełnią swoich zadań w budowaniu nowego ustroju i w wychowaniu nowego człowieka. Autorytet „ustawiać” nie może przyczynić się do przezwycięzania trudności w pracy uniwersyteckiej, ani do nadania im wysokiego miejsca w hierarchii instytucji naszego społeczeństwa, gdyż autorytet ten nie jest uznawany przez naród. Dlatego potrzebna jest dyskusja nad zagadnieniem, w jaki sposób uniwersytety służą budowie socjalizmu. Twierdząc, że mogą służyć najlepiej tworząc wartości kulturalne, przejmując kryteria wypróbowane w toku dziejów, a nie służąc dorozumianym potrzebom różnych i różnie pojmowanych etapów.

— Niech pan siada.

Dziennikarz usiadł i wyciągnął nogi. Parował zmęczeniem; jechał już trzecią noc, widział mnóstwo twarzy, poznał wiele faktów; wiele razy usiłowało go oszukać — marzył, aby wrócić już do Warszawy i wyciągnąć się na własnym łóżku. Miał małą, czarną dziewczynę o twarzy podobnej do Mickey Mouse; cały czas wściekał się na myśl, że w jego własnym, wygodnym łóżku, z jego własną, małą dziewczyną — być może — śpi ktoś inny.

Fryzjer założył mu serwetkę na szyję i powiedział:

— Pompkę pan wyjął?

— Jaką pompkę?

— Pan nie na rowerze?

— Nie — powiedział dziennikarz. — A co — kradną?

— E — powiedział fryzjer — żeby kradli, to nie. Ale kierownik samopomocy zgubił swoją pompkę; jego wentyl puszcza, więc lepiej jednak wnieść. Tak to bywa w życiu, rozumie pan?

— Rozumiem — powiedział dziennikarz i spojrzął na fryzjera. Fryzjer był stary; miał lysą głowę pokrytą śmieszny, kaczym puchem, odstające, zwiedzione uszy i białe spojrzenie czarnych ślepek. Zapytał:

— Mycie będzie?

— Nie.

— Nie będzie — powtórzył. Zatopił szpony we włosy dziennikarza i powiedział: — Główkę niżej. To co? Strzyżenie i golenie?

— Strzyżenie i golenie.

— Mycia nie będzie?

— Nie będzie.

— Ach — powiedział i na twarzy jego odmalowało się niesłychane skupienie. Milczał przez chwilę patrząc na dziennikarza wzrokiem chirurga, potem rzekł:

— Pana ostrzyć w kancik?

— Broni Boże. Normalnie.

— Oczywiście — powiedział. — Oczywiście, że normalnie. Panie, teraz w kancik to już nikt nie chce. Przedtem to się strzygli. A przeważnie łobuzeria. Tu mieszkali taki jeden, parę domów dalej. Niejaki Łoniek Maciejewszczak. Zawsze przychodził do mnie w sobotę i mówił: „No, panie Sobisiak! Ostrzyżesz mnie pan teraz legalnie, w kancik. Tylko żeby mnie się włos trzymał pięknie, bo inaczej to pan mnie znasz!” On tak mówił. Panie, co to był za łobuz! Największy w całym mieście. Mówię panu: pan by nie chciał od niego dostać w mordę. Wierzy mi pan?

— Absolutnie — powiedział dziennikarz i poprawił się w fotelu.

— On miał koleżków. Rzecz jasna, że także samo grande. Co sobota wychodził pod kościół i grał w taką grę, „frajer na kresce”. Rysowali na chodniku kreskę i kto by nie przeszedł — dawali mu blachę w czoło.

— Po co?

— A tak. Dla hecy. Teraz, to już ich nie ma. Zmieniło się.

— Zmieniło się?

— O, tak — powiedział z ożywieniem fryzjer. — Samo się nie zmieniło, ludzie wszystko zmienili. Prawdę powiedzieć — to wszystko się zmieniło. Fabrykę nam tu budują, pan wie? Instrumenta muzyczne będą się tu robić, chłopków już posłali gdzie indziej na naukę. Przed wojną był tutaj tylko jeden fachowiec od instrumentów. Organy naprawiali. Trunkowice. Mówiło

się do niego „mistrzu”. On sam mówił: „Wy, gówniarze, musicie mówić do mnie mistrzu. Ja jestem człowiekiem od delikatnej roboty. Jeśli mnie tu szlag trafi, to wszyscy zdechniecie w grzechu, bo kościoły zamkną — kościół bez muzyki nie ma u Boga żadnej zasługi, choćbyście nawet po dziesięć złotych dawali!” No i mówiło się do niego tak jak chciał. Pił. Pił tak, jak tu nikt jeszcze nie pił i nigdy już pić nie będzie. Czasem trzy dni a czasem pięć. Chodził po mieście i krzyczał: „Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam!” — Ewangelie znał, ciągle w kościołach siedział. Po łacinie też się potrafił wyrazić. U mnie się strzygli. Także samo w kancik. A pana jak ostrzyć? W kancik?

— Normalnie — powiedział dziennikarz i westchnął. Lustro przed którym siedział opstryzył muchy. Dziennikarz patrzył przez długą chwilę na czarne kropki, potem zapytał: — No i co z nim?

— Z nim? — powiedział fryzjer. — Nic z nim. Umarł. Przed śmiercią krzyczał: „Nie ma Pana Boga, wy gówniarze! Jak chcecie posłuchać muzyki, to załóżcie sobie elektrykę i kupcie radia zamiast chodzić do kościoła!” Wódka go zgubiła. Teraz to już tak nie piją. Wszystko się zmieniło, czasu nie ma na łobuzerkę. Wielkie rzeczy tu idą, panie. Ludzie się pozmienniali: pracują, mają facha, całkiem inaczej myślą. Ja też panie, inny człowiek jestem. Chyba rzucę to fryzjerstwo do cholery. Krem?

— Tak — powiedział dziennikarz. Spojrzał na fryzjera i rzekł: — Stary pan już jest. Teraz, na stare lata fach zmieniać ciężko panu będzie.

— Tak — powiedział fryzjer — stary jestem. Pan nawet nie wie jaki stary jestem; mam prawie osiemdziesiątkę. Córka moja jest w Wenezueli, mam wnuka, panie. Chce pan zobaczyć fotografie?

— Po co? — rzekł dziennikarz. — Cóż mnie u diabła obchodzić może pański wnuk?

— No właśnie — powiedział fryzjer marszcząc czoło. — Co pana może obchodzić mój wnuk? A czasem by się chciało pogadać. Ale nie ma z kim. Dawniej — bywało — ludzie siadywali przed domami, gadali, plotkowali. Teraz to już nie. Nie mają czasu: albo długo pracują, albo idą gdzieś do kina, mają radia, młodzieki lubią sport. A ja panie, taki człowiek znowu jestem, że najbardziej lubię towarzystwo. Słowo, to jest zawsze słowo. Dawniej ludzie więcej rozmawiali z sobą niż teraz. Byli tacy, co potrafili opowiadać. Bur-

ostatnie urodziło się pół roku temu i było rude. Barcikowski brunet, włos miał jak drut i nie mógł uwierzyć, że te ostatnie, te rude — to też jego. Więc bił ją i pytał: „Mów: moje, czy nie moje?” Po tygodniu ona umiera i mówi do niego ostatnie słowa: „Te pięte twoje, ale czworo tamtych — nie”. Potem skonała. Barcikowski wypił butelkę, wziął siekiere, i — wszystkie pięciore. Tak, panie. Różne hece tu były w miasteczku. Teraz to już nie. Wszystko się zmieniło; budują, pracują, to i na głupoty nie ma czasu. Teraz panie, ważniejsze rzeczy każdy ma na głowie.

Przestał mówić. Odszedł o krok i przyglądał się facetowi na fotelu wzrokiem człowieka, który ukończył w tej chwili największe dzieło swego życia. Potem powiedział:

— Gotowe. Mycia nie będzie?

— Nie będzie mycia — powiedział dziennikarz. Przyjrzał się staremu i zapytał: — Nie wybiera się pan czasem do Warszawy?

— Stary już jestem — powiedział fryzjer pobrząkując narzędziami. — Nie dla mnie taka podróż, panie.

— Zobaczy pan ludzi.

— Wszędzie są ludzie.

— Tak — powiedział dziennikarz. — Dobrze, że przyszedłem do pana, panie starszy. Wracalem w złym humorze. W terenie ludzie bujają, boją się. Teraz będzie jakoś przyjemniej wracać.

— Wracać jest zawsze przyjemnie — powiedział fryzjer. — Dom — to jest dom.

— Nie o to chodzi — powiedział dziennikarz. — Jak Boga kocham, że nie o to chodzi. Ale przyjemnie jest zobaczyć, że człowiek w małym, zasnurym mieście, w takim mieście, gdzie bez przerwy pada deszcz i bez przerwy jest błoto; w takim mieście, gdzie nie ma światła, i w takim mieście, gdzie jak jedną kurwę boli ząb, to już nie ma nocnego życia — zupełnie zmienił się człowiek. To jest przyjemnie zobaczyć.

— O, tak — powiedział fryzjer. No cóż: czasy są wielkie, panie, to i człowiek się zmienia. — Ja panie, zupełnie się zmieniłem.

— Przyjdź pan kiedy do Warszawy.

— Umrę chyba niedługo.

— Jak pan chce.

Dziennikarz wyszedł i znów brnął błotem przez rynek; konie, tak jak i przed godziną, drzemały ze zwieszonymi łbami. Na furkach spali pijani chłopcy. Deszcz padał; miasto jak wstrętny, plugawy grzyb, nasiąkało wilgocią. Niebo, jak przed godziną, miało kolor pomny. Dziennikarz idąc gwizdał.



Rys. T. Kokietek

„Zagadka“ śmierci Mickiewicza

TYTUŁ brzmi sensacyjnie. Ale żądnych nadzwyczajności tu nie będzie. Przypomnę sprawy wszytkim wiadome i omówię pewną niedużą księżeczkę, mniej może znaną, a przecież bardzo ważną. Zastrzegam się, że mój szkic nie ma pretensji do naukowości, popartej przetrzonym materiałem dowodowym, przypisami, odwołaniami itd. Jest to po prostu opowieść.

1.

Najpierw krótki rysopis Mickiewicza. Był średniego wzrostu, ręce i stopy miał małe i zgrabne, czoło pięknie sklepione, ale niewysokie, włosy bardzo gęste, czarne i długie. Siwieć zaczął młodo: około trzydziestki pokazywały się już pierwsze srebrne nici w czuprynie, a w pięćdziesiątym roku życia białe były całkiem jak gołąb. Oczy miał dziwne. Nikt ze współczesnych nie zdołał ustalić ich prawdziwego koloru: szare — powiadali — szaroniebieskie, ciemne, nawet czarne; tak były zmienne w barwie i blasku, przegaszające lub roziskrzające, gdy się unosił i zapalał. Budowę ciała miał mocną, choć w młodości szczupły był, nawet chudy: „skóra i kości“. W wieku męskim „utyl i zgrubiał“, stał się tegi i barczysty: „czynił niepospolite wrażenie swą postacią“. Jeden z Rosjan (Polewoj), zachwycając się wyrazem twarzy Mickiewicza, nazywał go „czarodziejem, porwijającym swym urokiem“. Któryś Francuz (François Noël) pisze, że „miał postać majestatyczną“.

Ala prowadził tryb życia nieregularny i nieporządkowy. Lekceważył wygody ciała, nie przestrzegał czystości w mieszkaniu, wczynie zadymionym, bo palił namiętnie fajkę. O zdrowie nie dbał, nie znośąc lekarzy i mawiając, że „najlepszym lekarstwem jest odporność ducha“. Miał skłonność do cierpień żołądkowych, a wstrzemięźliwości w jedzeniu nie zachowywał: lubił ciężkostrawną kuchnię polsko-litewską, owe zrazy i bigosy, które tak smakowicie opisał w „Panu Tadeuszu“. Nadużywał też czarnej kawy, bardzo mocnej, która musiała mieć „czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach mokki i gęstość miodowego płynu“. Był niezmiernie wrażliwy na ból fizyczny i na zimno: w nieogrzany pokojku „zaraz chuchał w palce i dzwonił zębami“. Z tym wszystkim był nadzwyczaj wytrzymały: niezmordowany piechur, odbywał dalekie wycieczki w góry, wiozłował i pływał, a podczas pobytu w Konstancynie, gdy „żył idea“, jeździł konno nieczym młodzieńcem, choć dzwigał już 57 lat, spał w namiocie na workach, ułożonych na mokrej ziemi, przykryty płaszczem. I właśnie ten la-da jaki tryb życia, ta niestaranność o zdrowie, przyspieszyła śmierć wielkiego poety.

2.

Umarł 26 listopada 1855 r. w dzień ponury i mglisty, po piętnastogodzinnej, nagłej a gwałtownej chorobie, przyjąwszy ostatnie namaszczenie z rąk ks. Ławrinowicza, z którym nie mógł już mówić, znakami tylko pokazując, że go poznaje. Ostatnie chwile Mickiewicza opisane są dokładnie przez kilku naocznych świadków, między innymi przez najbardziej wiarygodnego — pułkownika Emila Bednarczyka, który brał udział w tworzeniu legionu polskiego pod naczelnym dowództwem Sadyka-Paszy czyli Michała Czajkowskiego.

Z rana poczuł Mickiewicz raptowne mdłości. Chciał wstać z łóżka, ale doznał zawrotu głowy, upadł i potłukł się mocno. Potem się uspokoił, wypił kawę z kieliszkiem koniaku, wypalił fajkę. Około południa chwycił go drugi atak mdłości i wymiotów; zaczęły się kurcze w żołądku, okropne bóle, sinienie rąk i nóg. I taki stan trwał już bez przerwy do chwili zgonu, który nastąpił o godz. 8 min. 40 wieczorem. Przez cały czas tej krótkiej choroby otoczenie poety, zaskoczone nia niepoimiernie, nie wiedziało co robić, jakie środki stosować: konającemu dawano opium na uśmierzanie ciężkich bólów, rozcierano drętwiejące kończyny. Wzywano lekarzy, ale „nie stali oni na wysokości zadania“: pierwszy, którego jeden świadekowie nazywają Gembickim, inni zaś Rosenstrauchem — był podobno dentysta; drugi — Szostakowski — miał być zwykłym felcerem, trzeci — Drodzowski — też jakiś niewyraźny. Dopiero czwarty, znalezione na koniec dr. Narkiewicz, spojrzawszy na nieprzytomnego już poeę, miał podobno powiedzieć ze smutkiem: za późno, zaniedbano.

Tak umarł największy poeta polski i jeden z największych poetów ludzkości.

3.

Niezwykłe objawy choroby Mickiewicza i ostry przebieg, bierność jakby otoczenia, niedołęstwo lekarzy, gorszące kłótnie świadków zgonu, jakie wybuchnęły nad stygnącymi już zwłokami — wszystko to zaraz po śmierci dało żer najrozmaitszym przypuszczeniom, domysłom i plotkom. I nie ma się czego dziwić: wszakże to umarł Adam Mickiewicz, który jeszcze dnia poprzedniego był najzupełniej zdrowy. Cholera — mówiono — i takie zdanie utarło się potem i weszło do podręczników szkolnych. Ale przecież,

po pierwsze, zaraza ta w owym czasie w Konstancynie nie panowała, a po wtóre — świadkowie zeznają, że żadnych oznak posmiertnych cholery nie stwierdzono: „żadnego szernienia twarzy i ani śladu rozkładu ciała“. A więc otrucie. Ale ktoś otruci Mickiewicza i dlaczego? Jedni mniemali, że Hotel Lambert — partia konserwatywna księcia Adama Czartoryskiego; drudzy wskazywali na agentów Mikołaja I; tanci podejrzewali, że Austria; inni znowu wysuwali masonerię. Później w swych „Pamiętnikach“ bez osłonek napisał o tych różnych domniemaniach Władysław Mickiewicz. Ale już to samo, że bajano o czterech możliwych sprawcach zbrodni, świadczy raczej przeciw niej. Zwłaszcza nieprawdopodobieństwem się wydaje, by na taki potworny czyn mogli się zdobyć Polacy, choćby nawet byli przeciwnikami politycznymi Mickiewicza. A w danym wypadku niesposób nawet mówić o jakichś szczególnych przeciwnościach politycznych, bo Mickiewicz pojechał do Konstancynopola właśnie z ramienia Hotelu Lambert i starego Adama Czartoryskiego, swego dawnego kuratora z Wilna. I choć tam, na Wschodzie, między nim a pełnomocnikiem Hotelu Lambert, generałem hrabią Władysławem Zamoyskim, siostrzeńcem Czartoryskiego, powstała znaczna różnica zdań, choć Mickiewicz zaczął działać na własną rękę, przeciw w dalszym ciągu darzył szacunkiem księcia Adama, jak tego dowodzą jego listy, nawet ostatni pisany z Konstancynopola dn. 13 listopada. Zresztą gdy umierał, Zamoyskiego, o którym pono szeptano oszczerco, jakoby maczał palce w zbrodni, nie było w Konstancynie: w sprawach politycznych wyjechał do Londynu.

Ala prawdą jest, że nieporozumienia między Mickiewiczem a Zamoyskim sięgały głęboko. Mickiewicz w liście do Czartoryskiego zarzuca Zamoyskiemu prywate i karierowiczostwo. „Pan Zamoyski — pisze — zawsze od siebie zaczynał i kończył na sobie... Turcy uważają go za zręcznego kręciela, który za pomocą rządów obcych (Anglii) im się narzucał“.

Takie postępowanie Zamoyskiego i jego „kręcielstwo“ wywołało burzenie wśród lewicy emigracyjnej. Znalazło ono wyraz na pogrzebie Mickiewicza, podczas nabożeństwa żałobnego w paryskim kościele św. Magdaleny, kiedy to demokraci Józefiński uderzył Zamoyskiego kijem w plecy, narobił zamieszania i umknął.

4.

Plotka tedy, czy głucha wieść o otruciu poety, zrodziła się wraz z jego śmiercią.

JULIUSZ SALONI

MICKIEWICZ I GOETHE

W SIERPNIU 1929 r. przybył Mickiewicz, z listami polecającymi Marii Szymanowskiej, do Weimaru celem złożenia hołdu Goethemu. Przyjechał w dni, kiedy Weimar przygotowywał się do obchodu osiemdziesiątej rocznicy urodzin autora „Fausta“. Zapraszany i przynaglany przez otoczenie Goethego, głównie przez synową jego Otylię, Mickiewicz w towarzysztwie Odyńca zabawił w Weimarze około dwóch tygodni, biorąc udział w zebraniach i uroczystościach, na których królował Goethe.

Pierwszym kronikarzem tego spotkania był poeta niemiecki i aktor Karol Holtei; w pamiętnikach swoich zamieścił krótką relację o pobycie Mickiewicza w Weimarze, ograniczając się w niej do faktów, warunkujących uznanie i sympatię, którymi cieszył się Mickiewicz w tamtejszym towarzystwie.

Drugim, który opisał wizytę w Weimarze, w swoich „Listach z podróży“, był Antoni Edward Odyńce.

Od chwili opublikowania „Listów“, problem spotkania odbywał wielkich pisarzy stał się tematem frapującym wyobraźnię literatów.

W literaturze polskiej (poza odtworzeniem spotkania w monografiach), spróbował ująć syntetycznie ten fakt Stanisław Wyspiański. Napisał on po niemiecku wierszem fragmenty dramatyczne pt. „Weimar“. Tęcza w nim obydwa poeci fikcyjną rozmowę, nie mającą nic wspólnego z relacjami kronikarzy. Bierze w niej również udział niewidzialny Mefisto; Mickiewicz występuje pod postacią Konrada, przesładowanego przez Erynie, Goethe pragnąłby go uwolnić od cierpień mocą swej mądrości i poezji. Ale Konrad tał złość się ze swoim cierpieniem, że uważa je za główne źródło natchnienia, łączy z nim ponadto mistyczne przekonanie, że jest ono warunkiem wypełnienia jego życiowej misji. Jak z tego widać, Wyspiański ujmował Mickiewicza według swojej fałszywej i jednostronnej koncepcji, narzucając mu przedwcześnie postawę, jaką, jego zdaniem, zajął Mickiewicz w „Dziadach“ cz. III, o kilka lat później.

cią. Ale z biegiem lat przycichła i wygasta. Ożywił ją dopiero Tadeusz Boy-Zełenski, który między rokiem 1929 a 1933 ogłosił w „Wiadomościach Literackich“ szereg artykułów o Mickiewiczu, częściowo zebranych wówczas w tomie pt. „Brazownicy“, w roku zaś 1949 w całości wydanych przez „Czytelnika“ w książce pt. „O Mickiewiczu“. Boy niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że Mickiewicz został otruty przez agentów Hotelu Lambert. Sprawa rozpętała wówczas burzę, rozpalila namiętności, wywołała powódz artykułów za i przeciw, głównie jednak — przeciw: twierdzenie Boya obalali między innymi literaci: Roman Brandstaetter, Szpotyński, Windakiewicz, profesorowie medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego — Franciszek Walter i Adam Wrzosek. Ale Boy wziął na kiel. Z właściwą sobie niechęcią do „profesorów“ i podejrzewaniem, że ci wtajemniczeni wiedzą zawsze więcej, niż o tym mówią, polemizował, odcinał się, zadawał sztychy — szermierz i gracz nad graczem.

5.

I oto wiosną roku 1939, a więc na jakie pół roku przed wojną, pewien lekarz warszawski, podówczas ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, z upodobania zaś toksykolog, czyli badacz trucizn, dr Jan Offenberga, wydał niewielką, lecz nader cenną, rozprawę naukową pt. „Ostatnia choroba Adama Mickiewicza na tle ogólnego stanu jego zdrowia“, rozprawę, która jak się zdaje, raz na zawsze powinna usunąć wszelkie wątpliwości. Boy nie odpowiedział na nią może dlatego, że musiałby dać za wygraną, a może i z tego powodu, że czasy były gorące, powietrze już pachniało prochem i inne sprawy zaprzętały umysły. Broszura dra Offenberga jakoś nie zwróciła na siebie uwagi.

Dr Offenberga, zbadawszy szczegółowo w sposób naukowo-lekarski całą literaturę, dotyczącą choroby i śmierci Mickiewicza (w bibliografii przedmowa podaje 36 pozycji), tudzież odwołując się do dzieł lekarskich o chorobie azjatyckiej i o otruciu arsenikiem (20 pozycji), stwierdził niezbicie, że przyczyną śmierci nie było otrucie, ani cholera, tylko „ostro przebiegająca choroba narządów trawienia, wywołana zatruciem pokarmowym“ — to, co medycyna nazywa cholera nostras, cholera swojska, pospolicie zwana choleryną. Przeciwno otruciu przemawia po pierwsze: „brak niektórych ważnych i charakterystycznych objawów, jak: palenie w ustach,

zaburzenia w połykaniu, wczesne bóle w okolicy żołądka, parcie na stolec i drgawki przed zgonem“, o czym nikt ze świadków nie nadmienia nawet; po drugie: fakt, że chory nawet po wymiotach miał jeszcze apetyt i wprowadzanych pokarmów nie zwracał (pił kawę), podczas gdy przy zatruciu arsenikiem chory nawet po płynach wymiotują“.

Nie ma potrzeby na tym miejscu wyliczać wszystkie możliwe choroby, które mogły tkwić utajone w organizmie Mickiewicza i wybuchnąć nagle, powodując śmierć po piętnastu godzinach zaburzeń: dr Offenberga, na tle ogólnego zdrowia poety, przypuszcza osiem możliwości (np. mocznicę, zapalenie wyrostka robaczkowego, niedrożność jelit, martwicę trzustki itd.), i wszystkie odrzuca, jako że relacje świadków o żadnych towarzyszących tym przypadłościom objawach nie mówią — zresztą ten rozdział pracy dra Offenberga jest bardzo specjalny i całkowicie zrozumiały tylko dla lekarzy. Pozostaje jedno: zatrucie pokarmowe.

Mickiewicz, jak wzmiankowaliśmy na początku, nie szanował się zgłębiać, a organizm miał wyniszczony. Jakże on się odżywał w Konstancynopolu, zwłaszcza w ostatnich dniach przed atakiem śmiertelnym — to było pytanie, które najbardziej interesowało dra Offenberga jako lekarza. I wyszperał rzeczy zdumiewające. Mickiewicz jadł byle co, byle gdzie, w pierwszej lepszej, a raczej gorszej jadłodajni; jadł potrawy, które najdroższego człowieka mogłyby zwalić z nóg; śledzie w nieświeżej oliwie, kwaśną kapustę, łojową baraninę, pieprzny bigos z dzika, mocnym winem podlany, suszone mięso kozie, oliwki marynowane, stare salami, ryby wędzone, ciastka „jak z gliny“, zakraplając to wodką, bo był wciąż podniecony i zdenerwowany... Raz nawet trafiła się taka kiełbasa, że jeden ze współbiesiadników Mickiewicza „rzucił ją psu“. Po tej uczcie już dostał Mickiewicz zaburzeń kiszkowych, które były z pewnością wstępem do późniejszego napadu śmiertelnego choroby. A jak mieszkał? Przy brudnej i ciasnej uliczce Kalandz-Kuluk. Pokoik ciemny, wilgotny, nie dający się ogrzać. A czas był jesienny, dżdżysty i chłodny. Wic biedny wrażliwiec chuchał w palce i dzwonił zębami. A w nocy „pluskwy nie dawały mu zmużyć oka“. I nie rozstawał się ze swoją fajką, i pochłaniał, pochłaniał najmocniejszą (po turecku) kawę. I nie myślał o sobie, albowiem — „żył idea“.

JERZY WYSZOMIRSKI

Mickiewicz żywy

LEŻY przede mną kopia fotografii Adama Mickiewicza, wykonanej w r. 1853 przez Szweyccera. Jest to zapewne jeden z nielicznych dagerotypów z wizerunkiem poety. Jak bardzo różni się on od tych portretów Mickiewicza, do których przywykliśmy, z którymi obcujemy codziennie. Ten, który patrzy na nas z fotografii, to już nie smutny młodzieniec „na Judahu skale“, to nie geniusz romantyczny i nawet nie trybun, tragiczny, przyniesiony ciężarem kłesk narodowych. Oto wizerunek Mickiewicza żywego. Stary, bardzo znęcony człowiek. Być może — wątpliwy, choć tego nie potwierdza relacje z tamtych lat. Dostrzegam jakąś niepewność w nieznacznym skrzywieniu ust, w lekkim uniesieniu lewej ręki. Palce prawej dłoni obejmują kij pielgrzymi. To już jest poza.

Kiedy patrzę na podobiznę pięćdziesięciu pięcioletniego starca, myślę o tym, o czym nie chcemy dzisiaj myśleć, o czym staramy się nie wiedzieć — o tym, że za poezję płaci się ceną całego życia. Myślę też o — słuchającej dzwonnej ballady „To lubię“ — Maryli. Czemu?

2.

„Przetrwała burze dziejowe“. Stwierdzenie w stosunku do poezji Mickiewicza spowszechniałe, nadużyte, wytarte. Znowu usłyszałem je niedawno, pomieszczone w referacie, wygłoszonym z okazji odbywającego się na jakimś tam szczeblu konkursu recytatorskiego. Referat był okolicznościowy, a więc pokrępiący serca i wskazujący na trwałe wartości... Oczywiście, nie obyło się bez zacytowania strofy z Epilogu: „O, gdybym kiedy dożył tej poeichy“...

Przed jury konkursu, w którym zasiadałem, występowały recytując wiersze Mickiewicza, dzieci ze szkół podstawowych. Niestety, występowały, i niestety, recytowały. Z patosem i bogatą gestykulacją, ze wszystkimi akcesoriami obrzędów, które wokół Wieszczki odprawiać należy. Spoza gestów i fałszywych tonów błyskało jednak słowo żywe. Mickiewicz mimo wszystko. Chyba jeden z niewielu, któremu nie mogą przynieść szkody fałszerstwa interpretatorów i śmieszne pozy kapłanów obrzędów, z latami zasłaniające i oddalające od nas dzieło pisarza. Nie mogą, ponieważ jest to poezja odradzająca się, poezja zmieniająca swój sens w każdym pokoleniu. Przetrwała burze dziejowe.

3.

Oglądałem przedstawienie „Lorenzaccia“ w Teatrze Polskim. To bardzo piękne, barwne widowisko. Martwe widowisko. Wątpliwy i cyniczny, tragiczny i upodlający się Lorenzaccio Musset'a nie ma nam już nic do powiedzenia. Żyjemy w połowie wieku XX, przed dziesięciu laty, jeden nieznamy ruch dłoni amerykańskiego lotnika, Enrique Bernala, spowodował przemianę miasta w pustynię, i śmiechy nas romantyczny gest Wertera i obca jest nam walka o rząd dusz. Dlaczego więc powracamy do „Historii Szlacheckiej z r. 1811 — 1812“? Czyżbyśmy uślawiali we wspomnieniu — bo ktoś przy lekturze „Pana Tadeusza“ nie wspomina swoich lat dziecięcych — szukać drog uczciwości przed groźnym wiekiem XX? Czy może tylko przyciągani jesteśmy przez słowo? Czy w lirykach lozańskich szukamy uspokojenia? Czy wyrabiamy w sobie zgodę na „wiek kłeski“? Nie potrafimy odpowiedzieć na te pytania. Wtem jedno: nie musimy powracać do „Ody do młodości“ i ballad i nieodparcie przyciągany jestem przez strofę:

Skalom trzeba stać i grozić
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i gnać,
Mnie płynąć, płynąć i płynąć.

To jest poezja dzisiaj nowoczesna i nowatorska. Aby powstały liryki lozańskie, potrzebne były ballady i „Zima mjejska“ i naśladowania z Petrarke. Ale to już jest nowa jakość. Tego nigdy nie rozumieją nasi post-romantycy.

4.

W tym, co piszemy o Mickiewiczu, trudno, rzecz jasna, wyzbys się pokazanego balastu tradycji brązowniczej. Także — tradycji plotkarskiej. I najtrudniej — poetyzowania. Potrzebna jest jednak trzeźwa robota. Analiza słowa. Tej ciągle za mało. Jest to dziś jeszcze sprawa niesłychanie trudna. Ponieważ uważamy, że powinniśmy być skromni. Jeżeli powinniśmy słuchać i milczeć, bo on był nieomylny i jest nie do odczytania, a słowo jego, poza wartością znaczeniową, dźwiękową i graficzną, posiada wartość realną przedmiotu lub uczucia, jest przedmiotem, który miał być oznaczony.

Jeżeli mówimy, że był Prometeuszem, czy nie powinniśmy jednak pytać: z czego składa się ogień? A my stwierdzamy tylko, że płomień świeci i grzeje.

J. M. RYMKIEWICZ

JULIUSZ SALONI

*) Louis Fümberg: „Spotkanie w Weimarze“, PIW, 1955 r.

KRONIKA 14

Jeszcze o reportażu

(Dokończenie na str. 3)

literackim, czy przestanie przynależać do twórczości artystycznej? Zdaje mi się, że nie od istnienia fikcji literackiej w utworze zależy, czy mieści on się w ramach twórczości literackiej czy artystycznej. Inne mniemanie byłoby zważaniem zakresu i treści pojęcia dzieła literackiego. Dzieło literackie — omawiam za prof. Stefaną Skwarczyńską — to inaczej „sensowny twór słowny”. Sensowność dzieła literackiego, jest wynikiem przez rozum kierowanego działania. Dzieło literackie ma koncepcyjny charakter tzn. jest wynikiem pomysłu twórczego, dzięki któremu za pomocą tworzywa słownego przekazywane są obrazy, będące przetworzeniem danych obiektywnej rzeczywistości, będące przetworzeniem wiedzy autora o świecie. Będąc wytworem konkretnej jednostki, ma dzieło literackie piętno osobowe i to piętno osobowe określa w utworze i sferę treści, i sferę stylu. (Widz: St. Skwarczyńska: „Wstęp do nauki o literaturze” t. I. r. III).

Nie od obecności fikcji literackiej zależy więc istnienie dzieła literackiego. Nawet zwykła rozmowa, list czy opis, pozbawione zupełnie zmyślenia fabularnego, są dziełami literackimi i mogą być artystyczne. Ale jeżeli „zgodność utworu z jego założeniem jako gatunkiem — tak wysoko stawiane jeszcze przez starą filologię — badając do dziś dnia nie przestała uchodzić za jedną z zasadniczych podstaw dla sądów o wartości dzieła” (Skwarczyńska: Ibidem str. 85-86), to dla fikcji literackiej nie ma miejsca w reportażu, chociaż prawdą jest, że wychodzi on poza fakty i nie ogranicza się do ich konstatacji lub zaprzeczenia.

Tyle co do fikcji... A teraz sprawa druga: sprawa problemu, sprawa artystycznego uogólnienia. Tutaj już nie ma chyba kwestii spornej, „Chodzi o... wydobycie spraw, płynących nurtem głębszym, pod powierzchnią faktów, suchych liczb i ponętnych czy nieponętnych szczegółów” (J. Koprowski — Ibidem). Zgadzać się w zasadzie z takim ujęciem, podkreślam uporczywie, iż dla wydobycia tych spraw głębszych muszą służyć fakty zaobserwowane na danym odcinku danej konkretnej rzeczywistości, i one, i tylko one winny do tego wystarczyć bez uciekania się do deformującej fikcji. Jeżeliby ten nie jest tylko teoretyzowaniem, dowodem reportażu Żukrowskiego czy Brandysa. Wydawać się może, że nie warto tak akcentować postulatów wierności w rejestracji faktów, byleby dobrze uwydatnić problem i byle ten był prawdziwy, bo to chyba najważniejsze. Ale przesunięcie akcentu z faktów na problem zmieni charakter utworu, zachacząc nawet o jego aspekt finalny, a wtedy niejednemu tylko reportaż, tak pojmowany, służyć będzie podobnym celom. Jeżeli wysunięcie problemu uznamy za najważniejsze, to posłużyć się możemy doskonale innymi gatunkami literackimi, przede wszystkim tymi, w których treści wypowiedzenia przybiera postać poeciową, nie mówiąc już o takich, które operują postacią wyobrażeniową wypowiedzenia, w których rygor dokładności i ścisłości rejestracji nie obowiązują. Contes philosophiques XVIII w. również dobitnie stawiały problem i przekonująco świadczyły o zaangażowaniu się pisarza w życie współczesne, a przecież często operowały fabularnym zmyśleniem nawet z kategorią fantastyki.

Powtarzam jeszcze raz: nikt nie kwestionuje prawa reportażu do uogólnień i do wysunięcia problemu; skoro zagadnienie jest, należy, jak pisał J. Koprowski, „stanać twarzą w twarz wobec problemu”; ale ta sama postawa obowiązuje reportażystę wobec poszczególnych faktów! Tak ujmując istotę reportażu, nie pomniejszamy bynajmniej jego ambicji; chodzi tylko o to, by wynalazczość i odkrywczość w tej dziedzinie nie manifestowała się prześląmywaniem jego charakteru rodzajowego. Jeśli jednak komu nie odpowiada przestrzeganie pewnych logicznie uмотywowanych konwencji, piszmy szkice czy felietony, ale nie nazywajmy ich reportażami, skoro nimi nie są.

KAZIMIERZ KUPISZ

STANISŁAW KASZYŃSKI

Książka o Łukaszu*



Fot. Dorys

Z literatury znamy niemały zastęp sławnych bohaterów. Im sugestywniej ciąży taki żywot literacki nad wyobraźnią odbiorcy, im bujniej — w życiu — kłóży się z rzeczywistością, tym większe zwycięstwo pisarza. Wydaje się, że siła ciążenia i ustawicznego oddziaływania takiego żywotu jest niezniszczalna, szczególnie ta jego intelektualno-emocjonalna treść, która inspirowała i zapładnia nasze aktualne, ogólne czy osobiste dążenia i potrzeby. Np. nie wyobrażam sobie współczesnego reportażu z życia lekarzy, którym wzniosły cel zasłoniły, na dłużej czy krócej, szeleszczące banknoty, by autor nie przywołał ich postępowania judymowym postępowaniem. Albo: ilekroć któryś z młodych nauczycieli unika wyjazdu na wieś, Siłaczka staje się wzruszającym memento. Oczywiście, nie postuluje się tutaj naśladownictwa pięknego życiorysu i nie kępuje się wyboru kariery, ale nasza epoka, jak wszystkie wielkie epoki przełomów, jak Renesans czy Oświecenie, plasuje mądry ideał dydaktyczny, bez którego nie można by mówić o wychowaniu socjalistycznego człowieka.

Każdy wielki żywot literacki jest żywotem typowym — takim są dzieła Robinsona Crusoe, balzakowskiego Rastignaca czy doktora Judymana. Jakkolwiek są one niepowtarzalne, ciągną na wyobraźnię wielu pisarzy. Dzieje się to bądź na zasadzie swegoistego autentyzmu, bądź też za sprawą walej oryginalności. Efekt bywa taki, że pisarz kreuje swego bohatera na obraz i podobieństwo jakiegoś znakomitego prototypu, przy czym nie uwzględnia specyficznych warunków, w jakich postać jego się znajduje. Pierwowzór ów, rzecz prosta, winien odznaczać się szczególnymi cechami „łatwo” apelującymi do wyobraźni czytelnika, lub też mile widzianymi w normatywnej estetyce. Niektóre z nich to: hiperpobudliwość na krzywdę i temperament rewolucyjny, skłonność erotyczne (rzadziej), panszlachetność. Nasza literatura współczesna stworzyła sobie również własnego bohatera, a co więcej, ukształtował się na stronach powieści i w czytelniczej wyobraźni pozytywny bohater przeszłości. Jego wizerunek jest nazbyt dobrze znany, by trzeba było go raz jeszcze przypominać. A właściwie niesposób go stracić z oczu, skoro zajmujemy się ostatnią książką Seweryny Szmaglewskiej.

Wzorzec nie znosi żadnych za-

gadek i niespodzianek, zakłada z góry i jakby planuje — wszystkie przyniosły bohaterów. Bohater musi tu odznaczać się niezmiennym, bez mała wiecznym trwałym zespołem określonych cech. Jego życiorys choć dopuszcza pewne warianty w ujęciu indywidualnego losu, ma już utartą tradycję literacką, rzekłbym — swoje znormalizowane dzieje, swoje drogi i punkty dojścia. Z matematyczną wprost ścisłością można wyrachować kolejne etapy lukaszowego życia, lukaszowych zachowań.

Łukasz, chłopak z biedniackiej rodziny, idzie na służbę do bogacza, który u Szmaglewskiej nazywa się Jankowski. Jest brutalnie zachłanny. Zabija niewinnego człowieka, czego nie docieka sanacyjna sprawiedliwość. Jego córka, Celina, musi wyjść za mąż za granatowego policjanta, którego ojciec, również bogacz, jest sołtysiem i jakby dla pełni sylwetki psychicznej, kocha podstarzałe dziewczki. Łukasz musi dozwalać w klimacie nędzy i wyzysku. I muszą pojawić się pierwsze jaskółki buntu. A więc Antek Członka z Adamczykiem — muzykantom demaskują kawał — kulaka Jankowskiego. Tymczasem Łukasz, zmasakrowany przez pierwszego chlebodawcę, wraca do domu, by tu skosztować smaku matczynej miłości. I w tym właśnie miejscu otwiera się perspektywa innej jego kariery. Autorka nie skorzystała z tej szansy. Kiedy Łukasz telepie się chłopskim wózkiem pod eskortą policji — tutaj nie pierwszej świeżości „symboliczno-sygnałizujące” porównanie z odlatującymi gęśmi — dosnuwałem sobie jego dalsze losy. Czy Szmagłewska — zapomniała siebie — mogła mu darować ten obowiązujący w naszej literaturze, choć nieraz zgodny z rzeczywistością, staż więzienny doświadczeń? Chyba mogła, bo i motywacja tego wydarzenia jest w książce mało szczelna i nieco naciągana. Jakkolwiek by się miało wyobrażenie o sanacyjnej sprawiedliwości, wątpliwość wywołuje przyczyna aresztowania Łukasza. Tego z trudem czytającego chłopca wsadza się do „mamra” za znalezionych w cudzym mieszkaniu „Ludzi bezdomnych” i „Czerwony Szandar”. Ostanie się więzieniem politycznym — musiał znowu — spowodować zrozumiałe konsekwencje. I sprowadziło Łukasza uzupełnił luki w swym wykształceniu, wykarcał narosły w wiejskim środowisku zabobon i z pomocą towarzyszy dopracuje się nowego spojrzenia na świat. Tutaj nasuwa mi się wątpliwość. Niezbita prawda jest, że wielu rzetelnych i postępowych ludzi siedziało w sanacyjnych więzieniach, ale niewątpliwie i Szmagłewska i inni współcześni pisarze zniekształcają świat, zmieniając pobyt w więzieniu w kryterium, niemal jedyną, uczuciowości, rewolucyjności i patriotyzmu. Można by z tej przesłanki wysnuć nieoczekiwany (dla autorów) wniosek, iż przed 1939 r. poza murami znajdowali się sami łajdaki lub indywidua o wątpliwej kondycji! Nie przesadzajmy!

W prozie Szmaglewskiej zwraca uwagę określona technika relacji, którą nazwałbym techniką doraźnej rekom-

* Seweryna Szmagłewska: „Prosta droga Łukasza”, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1955, stron 612, 1 nłb.

pensaty. (Ten „chwyt” nie jest czymś oryginalnym, jest on nadużywany w naszej literaturze współczesnej o tego typu tematyce). Jest to jakby gest za doświadczenia pokrzywdzonym. Pisarka niejednokrotnie powtarza go z wyrażną przyjemnością (np. dzieje się tak z Rokselą, świetnie skreśloną postacią epizodyczną, która za swe poniżenia bierze nareszcie odwet na bogacz Jankowski). Spośród tych postaci i wątków, które krzyżują się z życiem Łukasza, poza jego towarzyszącymi pracy i walki, na plan pierwszy wysuwają się obrazy z dziejów inteligencji i mieszczaństwa. I te są rzeczywiście rzeczone, niekiedy drapieżne, w daleko większym stopniu — samodzielne. Choćby rodzina Danielów...

Jeśli babcia Danielowa miałaby bliższą parantelę z mamcią Dulską, to doremnie szukać literackich krewnych dla nauczyciela Daniela. Bezceremonialne wyrzucenie utartego wzorca osobowego belfra zapisał się niewątpliwie w plus Szmaglewskiej. To już nie szlachetny rozdawca mądrości. Od tej strony, i słusznie, nie poznajemy nawet Daniela. Uwaga pisarki skupiła się na ojcu i mężu, na niefrasobliwym człowieczku uszczęśliwionym znajomością wielkich tego świata (mecenastwo Bączkowcy). Mimo to odchodzi on jako człowiek czymś zawiadziony, a nawet zabierający odrobinę naszej wyrozumiałości. I to jest sukcesem pisarki.

Wydało się, że Aleksander, odesłany do piotrkowskiego gimnazjum posłuszny autorce do pokazania dzieł endeeckiego korporanta, będzie piął się po szczeblach burżuazyjnej kariery na prawie kontrastu wobec swego brata, Juliana. Dzieje się jednak inaczej. Ale nie jestem pewien czy spotkanie z Anulką wychodzi na dobre powieści, bo bohaterowi — z pewnością. Denerwuje nieco niesłychane wyrobienie ideowe tego podłoża. Gdyby przynajmniej Szmagłewska uwarunkowała je szerzej, choćby poprzez wprowadzenie

osoby czy domu jej matki. Słowna kwestionuje przydatność tego wątku. Dzieje jego brata Juliana mają, prawdopodobnie, raz jeszcze (któryż to raz w naszej literaturze?) ilustrować tezę o ohydnej roli burżuazyjnej filantropii. To też znamy. Punktem wyjściowym tej historii jest świetnie napisany rozdział „Po dwóch stronach zamkniętych drzwi”, który niejako objaśnia technikę epicką Szmaglewskiej. Rozdział ten jak wiele innych, składa się z kilku cząstek i akcja każdej z nich, akcja poprzetykana opisami, zdąża do wspólnego wydarzenia, które jest centralne dla całego rozdziału.

Opisy, nota bene, są silną stroną „Drogi Łukasza”, np. sugestywny obraz Piotrkowa: „Wieżenie piotrkowskie znajduje się w środku miasta, sąsiadując blisko z pięcioma kościołami. Latem, kiedy okna cel są otwarte, słychać nie tylko muzykę organów i pieśni chóralne, ale także cichy, tym bardziej przejmujący, głos dzwonka zwiastującego Podniesienie”.

Szmagłewska zbyt silnie jest uwarunkowana na barwę i urodę świata, zbyt dobrze umie podpatrywać ludzkie przynależności i wchodzić dyskretnie w wewnętrzne przeżycia swoich bohaterów, by dać się uwieść i omamić jedynie konwencjom i pozorom. Nie mało w powieści scen doskonałych artystycznie, o silnym napięciu dramatycznym np. opis zabójstwa Członki, opisy huty „Hortensja”, które przypominają swoim nastrojem grozę „Dymów nad Birkenau”, czy scen urzekających subtelnym, niebanalnym liryzmem. Dotyczy to również postaci szczególnie epizodycznych. Np. przejmujący jest żywot Marceliny Danielowej, wieźwie i naturalizmy w odbiorze sylwetki piotrkowskich chłopów. A Hipolit Daniel stanowi majstersztyk ikonkretu literackiego. Wszystko to narzuca się pamięci, pozostaje, a to co pozostaje, rozstrzyga o wartości książki.

STANISŁAW KASZYŃSKI

O miłości, młodości i o „Poemacie dla dorosłych”

(Dokończenie ze str. 3)

Któżby zresztą uwierzył innej literaturze, lakierującej sprawy życia seksualnego dużej części naszej młodzieży, skoro rzeczywistość nie jest różowa? Nie jest czas ani na dydaktyczną siłankę, ani na ponury naturalizm. Jest to czas realizmu walocajacy o pióra wielkich moralistów epoki. Czy tego rodzaju dzieła literackiego nie spotka los szufladowy?

Jak wreszcie z książką, jak z tym wszystkim trafić do młodzieży nie objętej zasięgiem szkoły, do młodzieży, która nie zna jeszcze smaku książki, teatru, muzyki? Do młodzieży nowohutnickiej, domów i hoteli robotniczych, do młodzieży pionierskiej z ugorów? Jak trafić, skoro światłocin nie zdały egzaminu i albo świećcie pustkami, albo — bywa — zostały opanowane przez bikiniarzy na awanturnicze zabawy?

Politycy i działacze oświatowi, zwróćcie raz jeszcze uwagę na Adama Ważyka. To ten ponury, zapewne pochopnie uogólniający sprawę, „Poemat dla dorosłych” dotknął was, zainteresował nas jednak życiem 20.000 młodzieży żyjącej w nowohutnickich hotelach za żółtymi firanczkami. Cokolwiekbyśmy o jego treści powiedzieli, poemat spowodował gorączkowe dyskusje. Jeszcze nigdy na temat życia młodzieży nie ukazało się tyle żarli-

wych, partyjnych, mądrych artykułów, co po poemacie Ważyka. Wystarczy wspomnieć obywatelskie artykuły w „Trybunie Ludu”, czy reportaż Azembskiego w „Świecie”. To ten poemat dotknął do żywego nowohutniczan; obraził i wzburzył sprawiedliwych tak, że lepiej przylgają się sąsiadom i żywiej reagują na ich styl życia. Winnym powiedział gorzką prawdę w oczy. To dobrze — jeśli bowiem są nieświadomi, trzeba im podać społeczną i moralną wartość czynów, jeżeli przynymkano oczy, albo godzono się na ten stan rzeczy, to niech się oczy szeroko otworzą i niech się podniosą protesty. A za nimi pójdą czyny, nie frazesy. Różnymi drogami dociera się do celu. Myślę, że poemat Ważyka już choćby przez to, że wywołał taką burzę i taki wzrost konkretnego zainteresowania życiem młodzieży nowohutnickiej, działalnością miejscowych organizacji partyjnych, powołanych do sprawowania opieki nad tą młodzieżą — jakoś jednak spełnił swą rolę. Bo o coż wreszcie chodzi? O to by młodzieży naszego kraju, młodzieży naszego kraju socjalizmu, stawała się czystsza, piękniejsza, abyśmy budując mury fabryk i domów, budowali także życie człowieka.

WANDA KARCZEWSKA

JAN HUSZCZA

„Kłopot z mężczyznami” w Ostrowach

KTOŚ, kto chce omawiać sztuki, wystawiane przez Teatr Ziemi Łódzkiej — powinien oglądać je nie w Łodzi przy ul. Tuwima 34, ale właśnie w terenie, wtedy bowiem wyraźniej występuje funkcja tego Teatru, patrzy się na spektakl z uwzględnieniem towarzyszących mu okoliczności.

W osadzie Ostrowy w pow. kutnowskim, której główną treścią istnienia jest cukrownia, obejrzałem trzyaktową komedię Ireny Jungielewiczowej „Kłopot z mężczyznami”.

Krzywoszewski czy Kiedrzyński, napisaliby zapewne taką komedię lepiej, obdarzyliby ją jeszcze wyższą akcją, zabawniejszymi sytuacjami, lub też bardziej określonymi charakterami. „Przełomy”, być może, następowałyby w sposób dokładniej umotywowany.

Tu rozwiązania wyskakują trochę jak Filip z konopi czyli jak deus ex machina. Wybaczają się to jednak autorce, gdyż — mimo zastrzeżeń — potrafiła jednak dostarczyć miłej, pogodnej i jednocześnie pouczającej rozrywkę.

Przez komedię (chciałoby się powiedzieć: sympatyczną komedię) przebiegają dwa wątki. Żona znakomitego lekarza chce wrócić do zawodu nauczycielskiego, ale mąż widzi dla niej miejsce jedynie w domu. Mąż jest człowiekiem eskadną postępowym — wynika to z jego zachowania się w innych wypadkach — ale ta postępowość nie działa wobec najbliższych, tutaj — żony... Bywa tak częściej, niż to się może pozornie wydawać: postępowość, w wypadku takich czy innych wła-

stych interesów, jakże często nabiera wody do ust. Wtedy mamy do czynienia, obiektywnie rzecz biorąc, z zakłamaniem i dulszczyzną typu socjalistycznego.

Drugi wątek jest bardziej ważki, co — kiedy autorka nie pokazuje nam jego bohatera!

Gdzieś tam koło Nowego Targu mieszka góral, który nie chce pozwolić córce na studia, teatralne, gdyż — jak łatwo się domyślić — jest ona potrzebna w stosunkowo dużym gospodarstwie. Na podstawie relacji córki, która uciekała do miasta, lądując u doktorostwa, i na podstawie relacji jej matki — łatwo możemy sobie wyobrazić tego górala. Sztuka nie pokazuje tych spraw w sposób szczegółowej rozwinięty, ale przecież przypomina nam problem rzeczywistości, problem kobiet w rodzinach wiejskich. To jest właśnie temat dla niejednej „może sztuki”!

Niewiele widziałem przedstawień Teatru Ziemi Łódzkiej. To jednak przedstawienie, nawet bez stosowania rabatu ze względu na szczególne okoliczności, w jakim przebiega jego praca, trzeba uznać za udane, dobre. Kilka postaci z komedii uzyskało pełne życie. Należałoby przede wszystkim wymienić Jadwigę Abbe-Szymańską w roli malarki, Wandę Sobiesiak w roli uczennicy, Bohdanę Sobiesiak w roli studenta. Ten ostatni jednak za bardzo grał na początku współczesnego „złotego młodzieńca”, żeśmy mogli potem bez reszty uwierzyć w jego mi-

łość i jego bezkompromisową szlachetność.

Skomplikowane zadanie mieli: Leokadia Jurdzińska, Maria Górecka i Stefan Czyżewski, gdyż reprezentowali element góralski. „Góralczyzna” nie bardzo się udało. Muszę tu jednak dodać, iż nie jestem pewien, czy „góralczyzna” udało się samej autorce w sposób nie budzący zastrzeżeń.

Tak czy inaczej — wymagałaby ta „góralczyzna” większej czujności reżyserkiej.

Maria Górecka miała rolę dość bogatą wyposażoną przez autorkę i — trzeba przyznać — poza „góralczyzną” nic w jej wykonaniu nie zawiodło, przez cały czas skupiała wokół siebie zainteresowanie widzów.

Nie wiem, komu należy przypisać dekorację do tej sztuki. Są one naturalistyczne aż do obrzydzenia. Czy jednak można już w tej chwili przesadzać sprawę dekoracji i żądać np. daleko posuniętych koncesji na rzecz umowności i skrótu? Jest to zagadnienie dyskusyjne, pamiętałem bowiem należy o tym, iż przedstawienia tego teatru powinien być najczęściej oglądać właśnie widz niewyrobiony. Jakies poważniejsze uogólnienie dałoby się sformułować dopiero przez wyciągnięcie wniosków z dotychczasowych doświadczeń. Ale i w tej chwili jedno jest niewątpliwie: dekoracje ze sztuki „Kłopot z mężczyznami” są przejawem pełnej rezygnacji z jakiegokolwiek ambicji artystycznych.

Przyjechalismy autobusem Teatru do osady w ciepły, rozgwieżdżony wieczór październikowy, przesycony zapachem wędniących liści. W pobliżu szopy (w której poza tym odbywają się regularne seanse filmowe) stały dziesiątki wozów z burakami cukrowymi. Przed szo-

pą zebrało się ludzi więcej, niż mogła ona ich pomieścić.

Na sali próbowałem rozejrzeć się i dokonać — rzecz jasna, tylko „na oko” — analizy społecznej. Wśród widzów zauważyłem urzędników, robotników i kobiety wiejskie.

Z największym zrozumieniem śledziły sprawę tyranizowanego przez męża, pani doktorowej, małżeństwa urzędnicze. Podobne konflikty na tle zależności kobiety od mężczyzny w rodzinach robotniczych już wyglądały inaczej. Kobiety w chustkach na głowach — a więc, jak można przypuszczać, wiejskie — cechował przede wszystkim jakiś szczególny szacunek dla samej instytucji teatru. Widziałem wargi rozchylające się w uśmiechu, hamowanym jednak chyba właśnie ze względu na ten onieśmielający szacunek. Szczególnie napiętą uwagę mogłem obserwować w momentach, gdy się pojawiała na scenie kwestia im najbliższa — sprawa owej góralskiej rodziny. Na kłopoty pani doktorowej, która musiała sprzątać i gotować, patrzyli na pewno z pobłażaniem: coż dla nich mogło być strasznego w gotowaniu i sprzątaniu? Mogły także przypuszczać, iż obywatelka doktorowa — z chwila, gdy wróci do zawodu nauczycielskiego — weźmie sobie... pomoc domową!

Jeśli chodzi o ogólne wrażenie, to i tym razem jeszcze raz da się stwierdzić, iż najłatwiej dociera komizm sytuacyjny. Komizm, tkwiący w słowach, z większym trudem szuka dla siebie poliwitowania.

W tym miejscu ten i ów zapewne chciałby rozważać na temat zagadnień repertuarowych Teatru Ziemi Łódzkiej. Niestety, na podstawie jednej sztuki i jednego jej obejrzenia w terenie, rozważania takie niewiele mogłyby dać.

Jeśli już krytykować...

PRZECIĘTNY czytelnik, po zapoznaniu się z artykułem Mateusza Dzięwisza pt. „Inwokacja do rozsądku” drukowanym w 11 numerze „Kroniki”, pomyśli: Co oni właściwie robią w tym Uniwersytecie? Nie kształcą naukowych kadr historyków literatury i krytyków, nie piszą do czasopism literackich, zwracając „uwagę na kolektywny i tylko na ten charakter pracy, lekceważąc indywidualną i samodzielną walkę o pogłębienie wiedzy, nie doceniając wielu zmudnych godzin pracy nad tekstami literackimi”, nie uczą literatury po wojennej i jeszcze na dobitkę po skończeniu uniwersytetu „absolwenta filozofii pcha się na siłę do 6-klasowej szkoły wiejskiej”. Niejedna matka z westchnieniem ulgi pomyśli, że jej córce udało się na szczęście uniknąć tak „smutnego losu”. Zastanówmy się jednak, czy istotnie sprawy polonistyki i perspektywy młodzieży studiującej są aż tak tragiczne. Zaczniemy od przydziałów pracy. Uniwersytet Łódzki, jak każdy inny w Polsce, ma właśnie przydzielone określone tereny (i o co tu Dzięwisz kruszy kopie?) dla potrzeb których kształci humanistów. Komisja przydziału pracy otrzymuje zapotrzebowanie na określony ilość polonistów od ministerstwa: Oświaty, Kultury, Rolnictwa, C. U. S. Z. i innych do pracy w szkołach i placówkach kulturalno - oświatowych podległych wymienionym ministerstwom. Zadaniem dobrze pracującej komisji jest uwzględnienie indywidualnych zainteresowań poszczególnych absolwentów oraz celowe zaspokojenie potrzeb wymienionych instytucji w myśl zasady: właściwy człowiek na właściwym miejscu. Komisja przydziału pracy przy Wydziale Filologicznym UŁ nigdy nikogo nie zmuszała, ani nie „pchała na siłę” do pracy nie odpowiadającej absolwentowi. Nie miała na to prawa ani możliwości. Natomiast mogła w sprawach spornych, trudnych do rozstrzygnięcia, przekonywać, uświadamiać, wskazywać na perspektywy rozwojowe nie tylko w Łodzi i w Warszawie.

I z tego, nie tylko prawa, ale i obowiązku, korzystała dość często z powodzeniem. Świadczy o tym brak w ciągu ostatnich kilku lat reklamować ze strony absolwentów, o czym kilkakrotnie mówiło się na pierwszym zjeździe przewodniczących komisji przydziału pracy zorganizowanym przez Ministerstwo Szkół Wyższych 28. V. 55 w Warszawie, świadczą o tym coraz większa ilość absolwentów polonistyki zarówno w Wielkiej Łodzi jak i miastach, miasteczkach a nawet wsiach województwa łódzkiego i innych. Z każdym rokiem na terenie

całej Polski zagęszcza się sieć rozwojowych 11-letnich szkół ogólnokształcących. Organizatorami tych szkół są i będą i absolwenci polonistyki. Trudno sobie wyobrazić, aby w wielkiej rewolucji kulturalnej, jaką przeżywa obecnie nasz kraj, zabrakło właśnie polonistów. I trudno sobie wyobrazić, aby absolwent UŁ czuł się tak bardzo dotknięty w swojej godności osobistej, tylko tym, że dostał przydział pracy do szkoły rozwojowej np. w woj. kieleckim.

Student jednak ma prawo żądać, aby zatrudniono go zgodnie z przygotowaniem, bez względu na miejsce, charakter i zakres szkoły. Przejawem upośledzenia kultury w Polsce Ludowej jest nie tylko UŁ czy czasopismo literackie „Kronika”, ale i 11-letnia Szkoła Ogólnokształcąca w Godzianowie (pow. skierniewicki), gdzie uczy literatury Janikowiec, absolwent UŁ, czy niedługo szkoła rozwojowa, a dziś pełna jedenastolatka w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie pracuje ceniony przez władze szkoły nasz były student Prymicki, czy Liceum Pedagogiczne w Wolborzu, miejsce pracy polonistyki, absolwenta PWSP, czy wreszcie Szkoła Rolnicza w Czarnocinie (pow. łódzki) i wiele, wiele innych placówek rozsiadłych na terenie całej Polski.

Nie wszyscy absolwenci wyższych uczelni są tego zdania co wspomniany przeze mnie kolega, że plan państwowy nie zawalił się, jeżeli on jeden nie pójdzie do pracy w szkole rozwojowej w woj. kieleckim. Większość z nich pracuje w różnych częściach kraju (niesposób nie spotkać byłych studentów UŁ na wybrzeżu, w górach, na Śląsku, w Warszawie, czy nawet w Lubelszczyźnie czy Białostocczyźnie) na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach, do których rzeczywiście nie zawsze (i tu należy zgodzić się z Dzięwiszem) otrzymała odpowiednio przygotowanie. I to jest sprawa poważniejsza, niżby się pozornie wydawało. Nie rozwiąże jej ani najlepszy krytyk literacki, ani zwiększenie ilości godzin wykładowych z literatury współczesnej, chociaż oba te postulaty autora „Inwokacji” wydają się słuszne.

Rzeczywiście literatura współczesna jest po macoszemu traktowana w UŁ. Wystarczy powiedzieć, że literaturę Młodej Polski, dwudziestolecia i powojenną omawia się w ciągu jednego semestru. A zatem na literaturę powojenną przeznaczają się 1½ miesiąca. W ciągu tak krótkiego czasu nawet najlepszy krytyk literacki nie nauczy literatury powojennej.

Czy zawsze jednak zwiększenie ilości godzin wykładowych pozostaje w stosunku

wprost proporcjonalnym do opanowania dyscypliny przez studentów? Praktyka, na którą dość często powołuje się autor, dowodzi, że nie zawsze. Gdybyśmy wiedząc studentką o literaturze chcieli ratować tylko przez zwiększenie ilości godzin wykładowych i dodawanie nowych wykładów — studia musiałyby być dwukrotnie dłuższe niż są. Nie miałyby to sensu z wielu względów. Przede wszystkim miałyby się z centralnym założeniem uniwersytetu, którego realizacją słusznie domaga się autor. Zaochciłoby studentów w wysokim stopniu z obowiązku indywidualnej pracy i samodzielnego myślenia.

Ostatecznie uwzględnienie w programie studiów literatury powszechnej tylko do XIX wieku nie zwalnia studentów od znajomości Rollanda, Zwięglów, czy Tomasza Manna. Literaturę najnowszą poznaje się „na bieżąco” przez całe życie. I o tym chyba nie można zapominać. Zadaniem uniwersytetu jest uzbrojenie studenta w sumę najniezbędniejszych wiadomości o przedmiocie specjalizacji (temu celowi służą tak że wykłady marksizmu-leninizmu i ekonomii politycznej; sądzę, że w tej sprawie zabiorą głos także koledzy z katedr ideologicznych) i uzasadnienie zainteresowania sprawami literatury i kultury. Resztę znajdzie student sam bez względu na to, jaką pracę otrzyma po skończeniu uniwersytetu. Trudno wymagać, aby uniwersytet przygotował w stopniu wystarczającym do pracy naukowej, w szkolnictwie, wydawnictwach TWP, czy radiu. Powinien jednak tak przygotować, aby średnio inteligentny student po otrzymaniu dyplomu magisterskiego dał sobie radę w każdej z wymienionych instytucji.

Do realizacji tego zasadniczego postulatów przyczynia się stopniowa reforma studiów polonistycznych polegająca na likwidacji części wykładów obowiązkowych i wprowadzeniu na ich miejsce wykładów wybranych; na odciażeniu obecnie tylko roku III i IV z nadmiernej ilości zajęć; na postawieniu na wyższym poziomie nauki języków obcych. Prawdopodobnie planowany piąty rok studiów umożliwi i odciażenie lat pierwszych. A zatem sprawy, o które walczy autor „Inwokacji”, nie są czymś „in spe”. Są one już od kilku lat konsekwentnie przeprowadzane. Uniwersytet stara się o możliwie najuszczerbnienie niebezpieczeństwa studentom opieki dydaktycznej i naukowej, o stypendia i domy akademickie a reszta... a reszta zależy od samych studentów.

WŁADYSŁAWA PIETRUCZUK

Cudze chwalicie — swoje zwalczacie

ODDECH wielkiej twórczości! — gdy przeczytałam ów tytuł felietonu Zimada (Trybuna Ludu nr. 266), jak żywy stanął mi przed oczyma kaleka pozbawiony ręki i nogi, prawdziwy strzęp człowieka... Wspominam zmarłego w r. 1952 ucznia Malewicza — wielkiego polskiego teoretyka sztuki i plastyka czasów ostatnich — Władysława Strzemińskiego. Jadwiga Siewierska (Przegl. Kult. z 12. X. br.) używa do pogłębienia studiów teoretycznych młodych malarzy, którzy zerwali z akademizmem Krajejskich, pisze, że bez wiedzy malarzkiej twórczość może być wyważaniem drzwi otwartych. Jest to wołanie o szkołę — prawdziwą uczelnię plastyczną.

Z chwilą, gdy nasza młoda plastyka żyje z konwencją postulowaną na uczelni przez miernoty, lub, jak pisze Putrament, przez oktrojowanych pedagogów, skład personalny profesorów powinien być poddany rewizji. Sam system nauczania i program należałoby zrewidować! Mamy szczęścia — nie trzeba stosować importu. Nie trzeba aż z dalekiego Meksyku sprowadzać programu i profesorów. Wystarczy wznosić szkołę Władysława Strzemińskiego — jego plastykę przestrzenną! Jej

tradycje są jeszcze żywe. Uczniowie nie zapomnieli i nie wyparli się ich. Uczniowie Strzemińskiego, rozproszeni po roku 1950, cierpieli „moralne katusze” słuchając „wykładów” na akademii warszawskiej, czy w innych uczelniach artystycznych kraju. Nadszedł czas, aby włączyć do powrotu do szkoły Strzemińskiego, zebranych rozproszonych środowisko. Z łódzkiej WSP należałoby przepędzić wprowadzone tam przez krajejszczyznę naloży pruskowickie i austriackie (sic!). Trzeba wzmocnić personel pedagogiczny, by odróżnić tętniący kiedyś życiem ośrodek postępowej plastyki. Łódzka „Forma” (tytuł czasopisma wydawanego przed wojną przez grupę Strzemińskiego „art”) walczyła o taki typ plastyki polskiego, który posiadałby szeroki zakres kierunków artystycznych, historycznych i współczesnych, uprawia prawdziwą, postępową twórczość. Dopiero taka działalność artystyczna stanowić mogła wkład do światowej plastyki. A więc nie malowanie sentymentalnych widoczności z Kazimierza czy Sandomierza — nie polski temat, jak chcieli pruskowicki, lecz twórczość na miarę Chopinów jest wartością naprawdę polską i narodową. O tym pisze i pamięta Przybóś, jeden z przyjaciół Strzemińskiego (vide „Przegląd Kulturalny”).

Pod koniec życia W. Strzemiński napisał „Teorię widzenia”; o ile wiem, dotychczas podejmowane próby jej wydania nie dały rezultatu. Czy nie należy wreszcie wydać „Teorii widzenia”? O Strzemińskim, o Malewicu (Malewicz, plastyk polski, znany więcej w Paryżu niż w Polsce, zmarł w roku 1935. Po wojnie wystawiono w Paryżu jego prace na retrospektywnej wystawie obok największych mistrzów plastyki światowej), o kontaktach grupy łódzkiej z L’Arpem, Vantongerlo, Mondrianem, Legerem należy pisać jak najwięcej! Należy skończyć z przynosi-

szącym tyle szkody spiskiem milczenia! Strzemiński zdierał swoje siły w walce z reprezentantami pruskowszczyzny i tandetnego warszawskiego „modernizmu”.

Strzemiński zmarł w ciężkich warunkach materialnych, prześladowany przez łódzką kołtunierę, która na jego zwalczaniu robiła karierę. Jej rozpamiętanie osiągnęło swój punkt kulminacyjny, gdy z muzeum łódzkiego zniknęły obrazy Hillera (zabitego w czasie okupacji w getcie), Wegnera, Strzemińskiego i innych. W roku 1952 rozbito młotkami rzeźbę Strzemińskiego pt. „Wyzysk kolonialny”. W okresie, kiedy korygujemy błędy krajejszczyzny należałoby co rychlej oczyścić łódzką atmosferę.

P. S. Ponieważ użycie w tekście słów „naloży austriackie” uchodzić może za groteskowe i niejasne, zapraszam do Łodzi wszystkich, którzy chcieliby poznać prowincjonalne wynaturzenia krajejszczyzny. Przyjeżdżni zapoznają się z różnymi „kwiatkami”, wyrosłymi przez tych kilka lat, w zaciszu, z dala od władz centralnych. Poznaliby poziom życia plastycznego, ujawniający się na wystawach okręgowych. Zobaczyliby wnętrza robione na wzór „salonów monachijskich”. Spotkaliby wreszcie pedagoga (cenionego pośród „śmietanki” miasta — brzydystę), który uprawia jak dotąd z niesłabnącym powodzeniem wiedeńską C. K. secesję! Pouczające byłoby zapoznanie się z poziomem komisji urbanistyczno-architektonicznych, zapoznanie się dalej z brudnymi interesami, zatutubowanymi pod płaszczykiem walki z formalizmem. Wart byłby obejrzenia człowieka, z zawodu podobno ślusarz, „wplywowu w plastyce”, który, jak sam twierdzi, postawił sobie za cel niszczenie wszelkich śladów po Strzemińskim. Taka atmosfera i tacy ludzie spowodowali chwilowy, mijający nadzieję, brak aktywności ośrodka.

JERZY OPLUSTIL

Nowości wydawnicze

Z nieobfitej produkcji poetyckiej bieżącego roku warto zwrócić uwagę również na tomiki wierszy mniej znanych autorów.

Wyróżnia się na przykład nowy tomik liryków krakowskiego poety, Stanisława Skonecznego „Jak galeń”. Skoneczny, poeta średniego pokolenia, który debiutował przed wojną, opublikował w ciągu ostatnich lat poematy o księdzu Szelegim i o Koscie Napierkiem. Niewątpliwie, były to rzeczy niemal całkowicie nieudane. Tym większą niespodzianką jest ostatnia książeczka poety, zawierająca kilkanaście pięknych i głęboko wzruszających wierszy.

Przeciwieństwem Skonecznego, poety przeżył i to niekiedy przeżyć tragicznych — jest Flowski Jerzy, poeta powabu słowa. Ostatnia jego książka: „Po polsku” — obok świetnych wierszy (zmystowe, a mimo wszystko delikatne erotyki) dostarcza jednak wiele t. zw. popisowej literatury.

Poetycznością i nadmiarem słów grzeszy również debiutancki tomik Jana Zycha „Zielone skrzypce”. Zych potrafi stworzyć

niekiedy wrocy liryk (pobrzmiwają w jego utworach dobre echa poezji Józefa Stachowskiego i autentystów), lecz w całości jest za ozdobny, za programowo liryczny. Jeśli jednak porzuci się pozę na dziecinność czy pacholeć, postara się zdyscyplinować swoje obrazy i myśli, dosięgnie do pięknych wyników, obdarzony jest bowiem z natury dużą wrażliwością na barwę i melodykę poetyckiego słowa.

Zwracają także uwagę nowe tomiki wierszy K. A. Jaworskiego („Wiersze wybrane”) oraz Jana Marli Gigsesa („Najbliższa sercu”).

Jaworski pomieścił w swym tomiku prawdziwie nowe wiersze, które pięknie odbijają od jego przedwojennych utworów, raczej przeciętnych i niczym nie wyróżniających się — są dojrzałe (mam na myśli głównie wiersze obozowe i poezje poświęcone pamięci rodziców), zastanawiają i wzruszają.

Książeczka Gigsesa poświęcona jest w całości Warszawie ostatnich lat dziesięciu. S.

Konkurs Mickiewiczowski

Zgodnie z zapowiedzią podajemy w bieżącym numerze ostatnie 3 rysunki Konkursu Mickiewiczowskiego. Odpowiedzi konkursowe należy nadsyłać na zamieszczonych w 12, 13 i 14 nr kuponach — najlepiej nakleić je na jedną kartkę — do dnia 10 grudnia br. na adres: „Kronika” Łódź, ul. Piotrkowska 96.

Za najlepsze rozwiązania rozlosowane zostaną wartościowe nagrody, m.in.:

- I — APARAT RADIOWY
- II — WIECZNE PIÓRO
- III — TECZKA

oraz liczne nagrody książkowe.



Rysunek konkursowy nr 7

Rys. Stefan Wegner



Rysunek konkursowy nr 8

Rys. Albin Łubniewicz



Rysunek konkursowy nr 9

Rys. Karol Baraniecki

KUPON KONKURSOWY

Nr rysunku	Tytuł ilustrowanego utworu	Nazwisko i imię autora odpowiedzi konkursowych:
7		
8		
9		

Adres:



Rys. K. Baraniecki

— Musimy zastanowić się nad definicją chuligaństwa

BOLESŁAW NAWROCKI

Parę słów o krytyce muzycznej

Słyszysz się często głosy narzekające na to, że zbyt mało jest w piśmie codziennych rzeczowych krytyk muzycznych, wiernie odzwierciedlających nie tylko nasze osiągnięcia, ale i braki.

Mówi się, że zbyt mało jest recenzentów muzycznych, którzy ujawniają swe możliwości, oparte na gruntownej, fachowej wiedzy muzycznej, zdolności utrzymywania swych sformułowań w granicach takiej formy literackiej, która byłaby przynajmniej „jako tako strawną” dla czytelnika, wypowiedzi opartych na uczciwości i odwadze mówienia o wszystkim (niekiedy w sposób dyskusyjny) oraz traktowanie w niektórych wypadkach krytyki jako „obrachunków osobistych”.

Nie ulega wątpliwości, że istnieją ludzie posiadający podobne kwalifikacje i że odpowiednie recenzje rzeczowe mogłyby się u nas częściej pojawiać na łamach prasy codziennej, gdyby nie... chęć... uzależniania recenzenta, oraz jego wypowiedzi, od stron zainteresowanych... oraz traktowanie w niektórych wypadkach krytyki jako „obrachunków osobistych”.

Recenzja, która otrzymuje „oficjalne błogosławieństwo” stron zainteresowanych, z istoty swej traci przeważnie charakter krytyki twórczej i staje się albo panegirikiem, którego nikt na serio nie bierze, albo, w najlepszym razie, sprawozdaniem wyczerpującym szczegółowo program koncertu oraz dane biograficzne wykonawców.

Sprawozdania informujące o wydarzeniach życia muzycznego danego ośrodka są niezbędne, nie mogą jednak zastępować recenzji twórczych, zawierających analizę interpretacji poszczególnych utworów, poruszających zagadnienia polityki programowej danej instytucji muzycznej itp.

Zadania stojące przed recenzentem muzycznym są niezwykle ważne. Krytyk będący pośrednikiem między odbiorcą a wykonawcą, kompozytorem oraz dyrekcjami różnych instytucji muzycznych, kształci w pewnej mierze odbiorcę.

biorec, komentując jego przeżycia estetyczne związane z muzyką i konsekwentnie rozszerzając zakres jego wiedzy w tej dziedzinie. Informuje on też właściwe czynniki o reakcji tejże publiczności. (Por. „Z zagadnień współczesnej krytyki muzycznej” — Stefania Łobaczewska, Muzyka, Nr 1—2 (1952).

W obecnych naszych warunkach niezbędnym wydaje się właściwe ustosunkowanie do pracy krytyka ze strony niektórych zainteresowanych osób, spośród dyrekcji instytucji muzycznych, artystów wykonawców i twórców. Nawoływania o sygnalizację wszystkich zauważalnych usterek, jakiegokolwiek one były natury; — o zbliżenie słuchaczy do instytucji, o pozyskanie publiczności dla prawdziwej współpracy, o twórczą krytykę... (Prosi o to ankietę Dyrekcji P. Łódzkiej Filharmonii zamieszczona w drukowanym programie nr 3 do koncertu symfonicznego dnia 30. IX. 55) muszą znaleźć podstawę — we właściwej reakcji na taką właśnie krytykę, stron zainteresowanych.

W przeciwnym bowiem razie w tych wszystkich, którzy są lub którzy chcieliby być krytykami istniejącego stanu rzeczy, zachowując jednocześnie niezależność swoich sądów... instynkt samozachowawczy weźmie górę...

Jakżeż aktualne, również i w stosunku do krytyki muzycznej, stają się słowa A. Rudnickiego („Świat” z 23. X. 55) „...Coś w ludziach zamiera... Z tymi treściami, które otrzymały oficjalne błogosławieństwo, nie można robić sztuki, a już w żadnym razie nie można robić sztuki z podobnym rozmachem i w podobnej ilości co wówczas, gdy człowiek mówił tylko o sobie, w swoim własnym imieniu... Sen będzie trwał...” — Bo nikt nie będzie chciał pisać rzeczowych krytyk.

A więc — „Czy warto nam utrzymać ten stan rzeczy?”

BOLESŁAW NAWROCKI

Wznowienie ciekawych przekładów literatury radzieckiej:

M. Jachontowa

OKRETY WYCHODZĄ NA MORZE. Tłum. z ros. J. B. Rychliński. S. 466 — wyd. II — opr. płóc. — zł 17,30

L. Linkow

KAPITAN „STAREGO ŻÓŁWIA”. Tłum. z ros. J. Brodzki. S. 206 — zł 5,90

M. Panow

NA OCEANIE. Tłum. z ros. K. Truchanowski. S. 310 — zł 10,—

E. Ryss

WYCHOWANEK KAPITANÓW. Tłum. z ros. I. Tuwim i J. Stawiński. S. 308, wyd. III — zł 9,80

M. Trublaini

SZKUNER „KOLUMB”. Tłum. z ros. J. B. Rychliński. S. 370, wyd. III — zł 17,—

Z cyklu „Złota Biblioteka”

G. Markow

NAD JUKSA. Tłum. z ros. S. Pollak. 2 tomy, s. 364 i 464 — wyd. III, opr. płóc. — zł 21,—

P. Werszyhora

LUDZIE O CZYSTYM SUMIENIU. Tłum. z ros. L. Lewin. S. 584 — wyd. V — opr. płóc. — zł 13,85

Nakładem
WYDAWNICTWA MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Piórka z ogona

ROK MICKIEWICZOWSKI

Doszło do nas, iż od pewnego czasu odwołując się do literatury, zajmujemy się m.in. postacią białoruskiego bohatera narodowego, Kastusia Kalinowskiego:

Zarząd łódzkiego TWP gorąco prosimy o doprowadzenie prelegenta - literata do władz spółdzielni usługowej „Piórka z ogona”!

REKORD

Artykuł w „Głosie Robotniczym” o literaturze białoruskiej, zajmuje się m.in. postacią białoruskiego bohatera narodowego, Kastusia Kalinowskiego:

„Trudno tu nie wymienić... poety - żołnierza, bohatera przywódcę powstania styczniowego na Białorusi, Kalinowskiego. Serdeczny przyjaciel Traugutta, zginał wkrótce po nim za naszą i ich wolność...”

Jak na dwa niepełne zdania, ilość nieścisłości chyba dość wyjątkowa, bo:

a) nie znamy ani jednego wiersza Kalinowskiego i nie znamy ani jednej wzmianki o tym, iż wiersze pisał;

b) nie znamy ani jednej wzmianki o tym, iż był przyjacielem Traugutta, natomiast pamiętniki Gieysztora twierdzą, że w ogóle się nie znali;

c) Kalinowski nie mógł być stracony „wkrótce po nim” choćby z tego względu, iż został powieszony w Wilnie 10(23) marca 1864 r., a egzekucja Traugutta na stokach cytadeli miała miejsce 5 sierpnia 1864 r.

WYJĄTEK Z PEWNEGO LISTU

...To jest sto razy gorsze jak wszystkie Marcinowski błędy. Marcinowski jest płaski i wierszokłeta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi gmatwanina słów niepojętego języka niepojęte i dziwne pomysły baje; Marcinowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinowski pisać nie powinien, Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinowski w miłościach swoich jest płaski i cikiły prostak, Mickiewicz brudny, karczemny... Mickiewicz niesforny zapal rozdmuchany brudny litewski pomywaczki; Marcinowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem, Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością...”

Tak pisał Kajetan Koźmian w roku 1827 do swego przyjaciela, poety i generała Franciszka Morawskiego z powodu ukazania się „Sonetów krymskich”. Jeszcze wypada tylko dodać, iż Kajetan Jaxa Marcinowski to literat współczesny wymienionym. Nie tyle resztą literat, co grafoman.

JOANNA KULMOWA

Nocą, kiedy wszystkie ptaki śpią,
bucha świergot zagranicznych radiostacji;
wdzięczy się szczeropolskim „hallo”
ptak niebieski z opierzonej emigracji.

A mój kot łakomie obliżuje pysk,
okiem prosto mierzy w jazgot w eterze;
sięgnie łapą — i jak z gniazda wybierze
trzepoczący, zakrwawiony pisk.

Jutro gdzieś tam zauważą stratę,
zaczną pióra z ptasich mózdków wydzyrać
i od rana wieść gruchnie nad światem:
„W krwawych szponach zadusił spikera
kot, zatruty bolszewickim miazmatem”.

ZYGMUNT FIJAS

O takim, co nie znosi wulgarności

KIEDYS na premierze sztuki tak oddalonej od tematów naszego życia, że nawet bileterki zadawały sobie pytanie, dlaczego nie została napisana pięćdziesiąt lat temu, miałem szczęście siedzieć obok jej autora i patrzeć, jak człowiek ów nabiera garściami jakąś jadalną substancję i w zdenerwowaniu napycha nią usta, potem niemal oczy i uszy.

Sztuka jego bowiem haniebnie padała, aktorzy na próżno starali się ją utrzymać przy życiu krzykiem i gwałtowną gesticulacją, a publiczność nie wiedziała, co ma wprawdzie uczynić: czy wyjść z teatru przed opuszczeniem kurtyny, odgwiżdawszy uprzednio swój zamiar, czy pozostać na sali do końca przedstawienia, gwiżdżąc w myśl.

Po przedstawieniu rzekłem do autora: — Popiełnił pan błąd, sam jedząc a drugim nie dając... Gdybyś w twój naszpikował wyimkami z książek kucharskiej, ludzie przecież nie rozpuścili jeszcze pasa... przydał mu tytuł „Sztukamię...” premierę przelożył na dzień beźmiesny, dzieło twoje stałoby jak mur... Nie uczyniłeś tego, przeto nie zostało przyjęte.

Spojrzał na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby mnie zamierzał ukąsić. — Wiem, że jest pan głupem, ale nie wiedziałem, że aż takim barbarzyńcą... Ja mam zniżyć się do wulgarności? Nie pańskie doczekanie!... Znam ludzi, co z lubością tapla się w tematach kulinarnych, ale dla mnie... jedzenie, to tamat zbyt pospolity.

Tymi ludźmi, co z lubością tapla się w sprawach kulinarnych, byłem w oczach tego człowieka ja. Pisywałem wtedy felietoniki, w których nie tailem, że usta nasze służą nie tylko do wypowiadania złośliwości, lecz także do przerabiania pokarmów stałych na półpłynne. Prace te powstawały niemal w huku dział, kiedy o grysk, wotowinę było trudno, mie-

szkańcy miast kradli jak kruki... prace moje cechowałem takimi tytułami, jak „Nie pchać się — chleb będzie”, „Oddajcie mi kanapę”, „1 kg grysku”... etc.

Po wielu latach spotkałem owego pisarza w pewnej jadalni. Człowiek ów siedział obrocony tyłem do sali i jadł okazały kotlet z ćwikłą.

Ach!... gdyby on ten kotlet tylko jadł... gdyby go jadł... Ale on go — żarł... Żarł go, ruszając brwiami, i szamił i skóra na karku, młaskając i stękając: „Och, ach, uch, aff, uff” z wyrazem takiej dzikiej rozpacz w oczach, jakby już docierał do samego dna ludzkich uciech.

Rzekłem wtedy: — Wybacz pan, że przeszkadzam mu w tej solowej biesiadzie, patrząc jednak na pańską uszczęśliwioną twarz, odnoszę wrażenie, że w tej chwili zatławiasz jeden z najwęższych ludzkich problemów... Dłaczęgoś nie podejmujesz tego zagadnienia i nie rozwiązujesz go artystycznie?

— Jak mam to robić? Proszę mówić wyraźniej.

— A wstać w ślady bodaj Majakowskiego, który nie wstydził się pisać o tym, że drzewa na opał brak... Napisać sztukę masową, mobilizującą na przykład rolników do zwiększenia obszarów uprawy kukurydzy.

— Jakież jest związku pomiędzy tym, co w tej chwili jem, a tym, o czym mam pisać?

— Czy nie widzi pan związku pomiędzy zwiekaniem się zasobów paszy a ilością tucznika i ceną kotletów? Wybacz pan, nie przypuszczałem, że możesz być takim ciecieciem.

Jego oczy naładowały się elektrycznością, która szybko uformowała się w piorun.

— Ja mam pisać o siewie kukurydzy? — stęknął. — Ja mam pisać o paszy? — krzyknął. — Ja mam pisać o ludziach krzących świnię!!! Ja? ja?

„WIADOMOŚCI BRUKOWE”

Organ Towarzystwa Szubrawców w Wilnie (1817—1822). Prezydentami byli: Jakub Szymbielicz, od roku 1819-go Jędrzej Śniadecki, który zamieszczał w „Wiadomościach Brukowych” liczne, ostre artykuły satyryczne. Do T-wa należeli m.in.: Leon Borowski, Ant. Górecki, Ign. Chodźko, Tomasz Zan, St. Worcell, Wawrz. Puttkamer. „Wiadomości Brukowe” wychodziły w latach 1816—1822 pod redakcją najpierw J. E. Lachnickiego, nast. Kazimierza Kontryma.

Rzecz jasna, ani rzeczownik „szubrawiec”, ani przymiotnik „brukowy” nie mają nic wspólnego z dzisiejszym, potocznym tych słów rozumieniem!

PODWÓJNA OMYŁKA

Lat temu kilkadziesiąt, łowiąc w nocy złodzieiów, pochwycono niewinnego szewca arcyśkromnie, bo trzeźwo do domu powracającego. Siedział on w areszcie miesiąc cały, nim go żona wykupiła: złodzieiów zaś, przez pomyłkę, zaraz nazajutrz wypuszczono. Pomyłki takie zdarzały się niekiedy, a przypadek drugi, trzeźwo powracającego o północy do domu szewca, bardzo rzadko się zdarzał.

NIETRZECZNOŚĆ NATURY

Niedawno pewna młoda, wykwiutnego prowadzenia panienka, postrzegłszy miłą i nadobną córkę, pytała u swojej mamy: dlaczego chłopka tak piękna? A gdy odebrała odpowiedź, że to natura tak dała, rzekła: „Fi donc! jak ta natura musi być niegrzeczna, kiedy tylą wdziękami córkę przyozdobiła”.

PRAWDA, DOWODZONA

PRZEZ JEDNEGO ADWOKATA NA SĄDACH GRANICZNYCH

W pewnym powiecie, którego nazwiska nie powiem, adwokat jeden na sądach granicznych, stojąc na górze piaszczystej, o pół mili od prawdziwej granicy, dowodził, że tam, gdzie on stał, była rzeka graniczna. Długo dowodząc tej prawdy, gdy chciał wszystkich o rzeczywistości przekonać, spoił się mocno, tchu mu nie stało, wpadł w słabość i prosił dla orzeźwienia się wody. Gdy tej nigdzie w bliskości nie znalazł, odepwał się wieśniak, który z zadziwieniem całej tej perory słuchał: „Mospanie, napij się WPan wody z tej rzeki, którą tu widzisz”.

DOŚWIADCZONE LEKARSTWO OD ZGRZYZOTY SUMIENIA

Pełną garść zdrowego rozsądku wyśpawszy do czystego naczynia rzetelnej pocziwości dobrze przy wolnym ogniu dobrych chęci zagotować, potem zmieszać to z równą ilością ścisłego dopełniania obowiązków i używać codziennie.

NAGROBEK EKONOMOWI

Przechodniu! rozniesz proszę ten dziw wszystkim stronom,
Tu leży sprawiedliwy, chociaż był Ekonom.

(„Wiadomości brukowe”, 1817).

NOWY PROJEKT

Poeci teraz w Polsce robią radę wspólną,
Przyszły sejm mają nowym projektem wzbogacić.
Chcą prosić, by im długim swe odsyłać wolno
Do tych sum, co potomność ma kiedyś im płacić.

GADUŁA

Gaduła wyczerpawszy wiadomości swoje,
Miał nareszcie uczynionym do pytanie zadać:
Na co Bóg jedną gębę a uszu dał dwoje?
Na to, rzekli, by więcej słuchać niżli gadać.
(„Wiadomości brukowe”, 1818).

ROZMAITOŚCI

...Pewny obserwator narachował w mieście naszym 1.922 małżeństw, które rozklasyfikował następującym sposobem:
Pięset małżeństw będących w otwartym wojnie 500
Trzysta dwadzieści siedm żyjących w niezgodzie, lecz ukrywających się z tem przed światem 327
Dwieście czterdzieści siedm, rozłączonych 247
Siedemset pięćdziesiąt trzy żyjących w obojętności 753
Osiemdziesiąt ośm udających, że się kochają 88
Pięćdziesiąt dwa takich, które są w mniemaniu, że się kochają 52
Dwadzieścia cztery takich, które się kochają lubo same temu nie wierzą 24
Jedno które się kocha, ma tego tysiączne dowody i jest szczęśliwe 1
Ogół 1.992
(„Wiadomości brukowe”, 1822).

REDAGUJE ZESPÓŁ

WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW

POLSKICH

Oddział w Łodzi

NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:

Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wynoszącą zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 3390 N. 0000. Pap. druk. sat. 80 g, V kl. XI. 55. D-0-14351